

Alessandro Baricco

BEZ KRWI

Przełożyła Halina Kralowa

2003

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Senza sangue

Data wydania:

2002

Wydanie polskie

Data wydania:

2003

Ilustracja i projekt okładki:

Agnieszka Kaneko

Przełożyła:

Halina Kralowa

Wydawca:

„Czytelnik”

<http://www.czytelnik.pl>

ISBN 83-07-02936-8

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Wydarzenia i osoby przedstawione w tej historii są tworem wyobraźni i nie odnoszą się do żadnej realnej sytuacji. Wybór imion hiszpańskich jest faktem czysto muzycznym i nie powinien sugerować czasu ani miejsca opowiedzianych zdarzeń.

Jeden

Stara farma Mato Rujo tkwiła ślepa pośród pól, odcinając się czernią od światła wieczoru. Jedyna plama na tle pustej przestrzeni równiny.

Czterej mężczyźni przyjechali starym mercedesem. Droga była zapadnięta i sucha – biedna wiejska droga. Manuel Roca zobaczył ich z farmy.

Podszedł do okna. Najpierw ujrzał słup kurzu unoszący się nad linią kukurydzy. Potem usłyszał hałas motoru. W tych stronach nikt już nie miał samochodu. Manuel Roca wiedział o tym. Zobaczył mercedesa wyłaniającego się w oddali i znikającego za szpalerem dębów. Dłużej już nie patrzył.

Wrócił do stołu i położył dłoń na głowie córki. Wstań, powiedział. Wyjął klucz z kieszeni, położył na stole i zwrócił głowę w stronę syna. Zaraz, powiedział syn. To były dzieci, dwoje dzieci.

Na skrzyżowaniu przy potoku stary mercedes minął drogę prowadzącą do farmy i pojechał dalej, w stronę Alvarez, udając, że się oddala. Czterej mężczyźni jechali w milczeniu. Ten, który prowadził, miał na sobie rodzaj mundur. Drugi, siedzący z przodu, miał kremowy garnitur. Wyprasowany. Palił francuskiego papierosa. Zwolnij, powiedział.

Manuel Roca usłyszał, że samochód oddala się w stronę Alvarez. Kogo chcą nabrać? pomyślał. Zobaczył syna wracającego do pokoju z jedną strzelbą w rękę, drugą pod pachą. Połóż je tam, powiedział. Potem zwrócił się do córki. Chodź, Nino. Nie bój się. Chodź tutaj.

Elegancki mężczyzna zgasił papierosa o tablicę rozdzielczą mercedesa i powiedział temu, który prowadził, żeby się zatrzymał. Tu będzie dobrze, stwierdził. I ucisz to diabelstwo. Ręczny hamulec zazgrzytał jak opuszczany do studni łańcuch. Potem zrobiło się cicho. Jakby wszystko pochłonął nieuleczalny spokój.

Lepiej było jechać prosto do niego, powiedział jeden z dwóch siedzących z tyłu. Teraz będzie miał czas, żeby uciec, powiedział. W rękę trzymał pistolet. Był to młody chłopak. Nazywali go Tito.

Nie ucieknie, powiedział elegancki mężczyzna. Ma już po dziurki w nosie uciekania. Chodźmy.

Manuel Roca odsunął kosze pełne owoców, pochylił się, uniósł ukrytą pod nimi pokrywę wjazdu i zajrzał do środka. Była tam jama, trochę więcej niż duża dziura wykopana w ziemi. Wyglądała jak nora zwierzęcia.

– Posłuchaj mnie, Nino. Zaraz przyjdą tu pewni ludzie i nie chcę, żeby cię widzieli. Musisz schować się tutaj, najlepiej będzie, jak się schowasz i poczekasz, aż sobie pójda. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Musisz tylko siedzieć cicho tu na dole.

– ...

– Cokolwiek by się zdarzyło, nie wolno ci wyjść, nie wolno ci się ruszyć, musisz tylko siedzieć spokojnie i czekać.

– ...

– Wszystko będzie dobrze.

– Tak.

– Posłuchaj. Możliwe, że ja będę musiał pójść z tymi panami. Ty nie wychodź, póki nie przyjdzie po ciebie brat, rozumiesz? Albo póki nie usłyszysz, że nikogo już nie ma i że już po wszystkim.

– Tak.

– Musisz zaczekać, aż nikogo już nie będzie.

– ...

– Nie bój się, Nino, nic ci się nie stanie. Dobrze?

– Tak.

– Pocałuj mnie.

Dziewczynka przytknęła wargi do czoła ojca. Ojciec przesunął ręką po jej włosach.

– Wszystko będzie dobrze, Nino.

Stał nadal, jakby coś jeszcze należało powiedzieć czy zrobić.

– Nie tego chciałem.

Powiedział.

– Zapamiętaj sobie, że ja nie tego chciałem.

Dziewczynka instynktownie spojrzała na ojca, szukając w jego oczach czegoś, co by jej pomogło zrozumieć. Nic nie zobaczyła. Ojciec pochylił się ku niej i pocałował ją w usta.

– Teraz idź, Nino. No, zejź tam na dół.

Dziewczynka opuściła się do jamy. Ziemia była twarda i sucha. Położyła się.

– Poczekaj, weź to.

Ojciec podał jej koc. Rozpostarła go na ziemi i położyła się znowu.

Słyszała, że ojciec coś do niej mówi, potem zobaczyła, jak opuszcza się pokrywa wjazdu. Zamknęła oczy i otworzyła je ponownie. Przez deski podłogi przenikały strużki światła. Słyszała głos ojca, który nadal coś mówił. Słyszała szuranie ciągniętych po podłodze koszy. Na dole zrobiło się ciemniej. Ojciec zapytał ją o coś. Odpowiedziała. Położyła się na boku. Podkurczyła nogi i leżała skulona, jakby była w swoim łóżku i nie miała nic innego do roboty, jak tylko zasnąć i śnić. Usłyszała, że ojciec coś jeszcze do niej mówi, z czułością, schylony nad podłogą. Potem usłyszała strzał i trzask szyby rozpryskującej się na tysiące kawałków.

– ROCA!... WYCHODŹ, ROCA... NIE BĄDŹ GŁUPI I WYCHODŹ.

Manuel Roca spojrzał na syna. Podpełźł do niego, ostrożnie, by nie wystawić się na strzał. Wyciągnął rękę, by wziąć strzelbę ze stołu.

– Chryste, uciekaj stąd. Schowaj się w drewni. Nie wychodź stamtąd, nie odzywaj się, nie próbuj nic robić. Zabierz strzelbę i niech będzie nabita.

Chłopiec patrzył na niego i nie ruszał się.

– Szybko. Rób, co ci powiedziałem.

Ale chłopiec zrobił krok w jego stronę.

Nina usłyszała grad strzałów omiatających dom ponad nią. Kurz i kawałki szkła lecące przez szpary podłogi. Nie poruszyła się. Usłyszała głos dobiegający z zewnątrz:

– WIĘC JAK, ROCA? MAMY PO CIEBIE PRZYJŚĆ?... MÓWIĘ DO CIEBIE, ROCA. MAM PO CIEBIE PRZYJŚĆ?

Chłopiec stał nadal, nie kryjąc się. Wziął strzelbę, ale opuścił ją lufą w dół. Kołysał nią, trzymając w jednym ręku.

– Odejź – powiedział ojciec – słyszałeś? wynoś się stąd.

Chłopiec podszedł do niego. Pomyślał, że klęknie na ziemi i że ojciec go obejmie. Wyobraził sobie coś takiego.

Ojciec wymierzył w niego strzelbę. Mówił cicho, ale z wściekłością.

– Wynoś się albo ja cię zabiję.

Nina usłyszała znowu ten głos.

– OSTATNIE OSTRZEŻENIE, ROCA.

Nagła seria omiotła dom, tam i z powrotem, niczym światło latarni morskiej smołę czarnego, ciepłego morza.

Nina zamknęła oczy. Płasko przywarła do koca i skuliła się jeszcze bardziej, podciągając kolana do piersi. Podobało jej się, że tak leży. Czowała pod bokiem chłodną ziemię, która jej

strzegła – ona nie mogła jej wydać. I czuła własne ciało, skulone, zwinięte jak muszla – to jej się podobało – była skorupą i zwierzęciem, schronieniem dla siebie samej, była wszystkim, była dla siebie wszystkim, nic nie może zrobić jej krzywdy, dopóki pozostanie w tej pozycji – otworzyła oczy i pomyślała Nie ruszaj się, jesteś szczęśliwa.

Manuel Roca zobaczył, że syn znika za drzwiami. Następnie uniósł się na tyle, by spojrzeć za okno. Dobrze, pomyślał. Zmienił okno, podniósł się, wycelował szybko i strzelił.

Mężczyzna w kremowym garniturze zaklął i rzucił się na ziemię. Popatrz, co za drań, powiedział. Potrząsnął głową. Co za skurwiel. Usłyszał kolejne dwa strzały dochodzące z farmy. Potem usłyszał głos Manuela Roki.

– PIEPRZ SIĘ, SALINAS.

Mężczyzna w kremowym garniturze splunął na ziemię. Sam się pieprz, draniu. Rzucił okiem na prawo i zobaczył el Gurrego, który uśmiechał się szyderczo, przycupnięty za stosem drewna. Dał mu znak, żeby strzelał. El Gurre uśmiechał się nadal. W prawej ręce trzymał pistolet maszynowy, lewą szukał w kieszeni papierosa. Nie wyglądało, żeby się spieszył. Był mały i chudy, na głowie miał brudny kapelusz, a na nogach parę wielkich butów do chodzenia po górach. Spojrzał na Salinasa. Znalazł papierosa. Wsunął go między wargi. Wszyscy nazywali go el Gurre. Podniósł się i zaczął strzelać.

Nina usłyszała, jak dom nad nią przecina seria. I robi się cicho. A zaraz potem druga seria, dłuższa. Oczy miała otwarte. Patrzyła na szpary w podłodze. Patrzyła na płynące z nich światło i kurz. Co jakiś czas widziała przesuwany się cień, i to był jej ojciec. Salinas podpełzł do el Gurrego, za stos drewna.

– Ile czasu potrzebuje Tito, żeby tam wejść?

El Gurre wzruszył ramionami. Nadal uśmiechał się szyderczo. Salinas rzucił okiem na farmę.

– Stąd nigdy tam nie wejdziemy; albo jemu się uda, albo gównu z tego.

El Gurre zapalił papierosa. Potem powiedział, że chłopak jest sprytny i że mu się uda. Powiedział, że umie pęłzać jak wąż i że należy mu ufać.

Potem powiedział: Teraz my zrobimy trochę hałasu.

Manuel Roca zobaczył, jak el Gurre wyskakuje zza stosu drewna, i rzucił się na podłogę. Natychmiast rozległa się długa seria. Muszę stąd zwiewać, pomyślał. Amunicja. Najpierw amunicja, potem przeczłogać się do kuchni, a stamtąd prosto na pola. Czy z tyłu też kogoś postawili? El Gurre nie jest głupi, pewnie tam też kogoś postawił. Ale z tamtej strony nie strzelają. Gdyby tam byli, strzelaliby. Może to nie el Gurre dowodzi. Może to ten tchórz Salinas. Jeśli to Salinas, może mi się udać. Salinas nic nie rozumie. Siedź za biurkiem, Salinas, to jedyna rzecz, jaką potrafisz. Odpierdol się. Najpierw amunicja.

El Gurre strzelał.

Amunicja. I pieniądze. Może uda mi się też zabrać pieniądze. Powinienem był uciekać od

razu, oto co powinienem był zrobić. Ale dureń. Teraz muszę stąd wyjść, gdyby tylko tamten przestał na chwilę, skąd on wziął pistolet maszynowy, mają samochód i pistolet maszynowy. Zbytek łaski, Salinas.

Amunicja. A teraz pieniądze.

El Gurre strzelał.

Nina słyszała, jak okna rozsypują się pod kulami. Potem ułamki ciszy między jedną serią a drugą. W ciszy cień ojca czołgającego się pośród szkła. Jedną ręką poprawiła spódniczkę. Przypominała rzemieślnika zajętego wykańczaniem swej pracy. Skulona na boku, zaczęła usuwać, jedną po drugiej, wszelkie niedoskonałości. Ułożyła nogi tak, by stykały się idealnie, dwa uda miękko złączone, kolana jak dwie filiżanki w chwiejnej równowadze jedna nad drugą, kostki blisko siebie. Sprawdziła raz jeszcze symetrię butów, zestawionych jak na wystawie, ale bokiem, leżących, by tak rzec, ze zmęczenia. Podobał jej się ten porządek. Jeśli jesteś muszlą, porządek jest ważny. Jeśli jesteś skorupką i zwierzęciem, wszystko musi być idealne. Dokładność cię uratuje.

Usłyszała, jak zamiera furkot bardzo długiej serii. I zaraz potem głos jakiegoś chłopaka.

– Rzuć tę strzelbę, Roca.

Manuel Roca odwrócił głowę. Ujrzał Tita, który stał parę metrów od niego. Trzymał wycelowany w niego pistolet.

– Nie ruszaj się i rzuć tę strzelbę.

Na zewnątrz poszła nowa seria. Ale chłopak nie poruszył się, stał dalej z wycelowanym pistoletem. Pod deszczem kul ci dwaj pozostali nieruchomi i patrzyli na siebie niczym jedno zwierzę, które przestało oddychać. Manuel Roca, na wpół leżąc na podłodze, patrzył w oczy chłopca, który stał nie kryjąc się. Próbował zrozumieć, czy to dziecko czy żołnierz, czy to po raz tysięczny czy pierwszy i czy za tym pistoletem tkwi mózg czy tylko ślepy instynkt. Zobaczył, że lufa pistoletu drga niedostrzegalnie, jak gdyby coś w powietrzu gryzmołała.

– Spokojnie, chłopcze – powiedział.

Powoli złożył na ziemi strzelbę. Kopniakiem pchnął ją na środek pokoju.

– Wszystko w porządku, chłopcze – powiedział.

Tito nie przestawał się w niego wpatrywać.

– Zamknij się, Roca. I nie ruszaj się.

Rozległa się nowa seria. El Gurre pracował metodycznie. Chłopak czekał, aż się skończy, nie opuszczając pistoletu ani wzroku. Kiedy znowu zrobiło się cicho, rzucił okiem w stronę okna.

– SALINAS! MAM GO. PRZESTAŃ, MAM GO.

A po chwili:

– To JA, TITO. MAM GO.

– Udało mu się, kurwa – powiedział Salinas.

El Gurre, nie odwracając się, wykrzywił wargi w czymś, co przypominało uśmiech. Przyglądał się lufie pistoletu, jakby to on wyciął ją w wolnych chwilach z gałęzi jesionu.

Tito wyjrzał przez okno.

Manuel Roca uniósł się powoli, na tyle by móc oprzeć się plecami o ścianę. Pomyślał o pistolecie wsuniętym w spodnie, który uciskał mu biodro. Próbował przypomnieć sobie, czy jest nabity. Musnął go ręką. Chłopak niczego nie zauważył.

Idziemy, powiedział Salinas. Obeszli stos drewna i skierowali się prosto ku farmie. Salinas szedł lekko pochylony, widział, że tak się robi na filmach. Nie zdając sobie z tego sprawy, był śmieszny, jak wszyscy walczący mężczyźni. Przechodząc przez klepisko, usłyszeli strzał.

El Gurre ruszył biegiem, dotarł przed drzwi farmy, otworzył je jednym kopnięciem.

Jednym kopnięciem wyważył drzwi stajni, przed trzema laty, wszedł i ujrzał swoją żonę wiszącą pod dachem i swoje dwie córki ogolone na zero, z udami umazanymi krwią.

Otworzył drzwi jednym kopnięciem, wszedł i zobaczył Tita, który stał z pistoletem wymierzonym w kąt pokoju.

– Musiałem to zrobić. Ma pistolet – powiedział chłopak.

El Gurre spojrział w kąt. Roca leżał na plecach. Krew ciekła mu z ramienia.

– Myślę, że ma pistolet – powiedział znowu chłopak. – Gdzieś schowany – dodał.

El Gurre podszedł do Manuela Roki. Spojrział na ranę w ramieniu. Potem spojrział mężczyźnie w twarz.

– Witaj, Roca – powiedział.

Oparł but na zranionym ramieniu Roki i zaczął je przyciskać. Roca zawył z bólu i obrócił się. Pistolet wypadł ze spodni. El Gurre schylił się, by go podnieść.

– Dobry jesteś, chłopcze – powiedział. Tito przytaknął. Zdał sobie sprawę, że nadal stoi z wyciągniętym ramieniem i trzyma w garści pistolet wycelowany w Rocę. Opuścił go. Poczuł, jak palce rozluźniają się na kolbie pistoletu. Bolała go cała ręka, jakby przed chwilą walił pięścią w mur. Spokój, pomyślał.

Nina przypomniała sobie tę piosenkę, która zaczynała się od słów: Policz chmury, przyjdzie czas. Potem było coś o orle. A kończyło się liczeniem, po kolei, od jednego do dziesięciu. Ale można było też policzyć do stu, do tysiąca. Ona pewnego razu doliczyła do dwustu czterdziestu trzech. Pomyślała, że zaraz się podniesie i pójdzie zobaczyć, kim są ci ludzie i czego chcą. Odśpiewa całą piosenkę, a potem się podniesie. Gdyby nie mogła otworzyć wjazdu, będzie krzyżeć i ojciec po nią przyjdzie. Ale nadal leżała na boku, z kolanami podciągniętymi do piersi, butami w chwiejnej równowadze jeden na drugim, policzkiem wyczuwającym chłód ziemi poprzez szorstką wełnę koca. Zaczęła śpiewać tę piosenkę, po cichutku. Policz chmury, przyjdzie czas.

– Znow się spotykamy, doktorze – powiedział Salinas.

Manuel Roca patrzył na niego bez słowa. Przyciskał do rany jakąś szmatę. Posadzili go na środku pokoju, na drewnianej skrzynce. El Gurre stał gdzieś za nim, ściskając w ręku swój pistolet maszynowy. Chłopaka postawili przed drzwiami: pilnował, żeby z zewnątrz nikt nie nadszedł, i co jakiś czas odwracał się, by spojrzeć, co się dzieje w pokoju. Salinas chodził tam i z powrotem. Z zapalonym papierosem w palcach. Francuskim.

– Dużo czasu straciłem przez ciebie, wiesz? – powiedział.

Manuel Roca podniósł na niego wzrok.

– Oszalałeś, Salinas.

– Trzysta kilometrów, żeby cię stąd wykurzyć. To kawał drogi.

– Powiedz, czego chcesz, i wynoś się.

– Czego chcę?

– Czego chcesz, Salinas?

Salinas zaśmiał się.

– Chcę ciebie, doktorze.

– Oszalałeś. Wojna się skończyła.

– Co powiedziałeś?

– Wojna się skończyła.

Salinas pochylił się nad Manuelem Rocą.

– To zwycięzca decyduje, kiedy wojna jest skończona.

Manuel Roca potrząsnął głową.

– Ty, Salinas, czytasz za dużo książek. Wojna się skończyła i tyle, nie możesz tego zrozumieć?

– Nie twoja. Nie moja, doktorze.

Wtedy Manuel Roca zaczął krzyżeć, że nie wolno im go tknąć, że skończą wszyscy w więzieniu, że ich złapią i przez resztę życia będą gnić w pudle. Krzyknął do chłopaka, czy podoba mu się perspektywa starzenia się za kratami, liczenia godzin i obciągania laski jakimś ohydny mordercy. Chłopak spojrzał na niego bez słowa. Wtedy Manuel Roca krzyknął do niego, że jest głupi, że go robią w konia i że mu spieprzą życie. Ale chłopak nie odezwał się. Salinas chichotał. Patrzył na el Gurrego i chichotał. Wydawał się rozbawiony. W końcu spoważniał znowu, stanął przed Manuelem Rocą i powiedział mu, żeby się zamknął, żeby się wreszcie zamknął. Wsunął rękę pod marynarkę i wyciągnął stamtąd pistolet. Potem powiedział do Roki, żeby się o nich nie martwił, że nikt się o niczym nie dowie.

– Znikniesz bez śladu i koniec. Twoi przyjaciele opuścili cię, Roca. A moi są bardzo zajęci. Zabijając cię, zrobimy tylko wszystkim wielką przyjemność. Masz przejebane, doktorze.

– Oszaleliście.

- Co mówisz?
- Oszaleliście.
- Powtórz to jeszcze raz, doktorze. Lubię słuchać, jak ty mówisz o szaleńcach.
- Pieprz się, Salinas.

Salinas odbezpieczył pistolet.

– No to posłuchaj, doktorze. Czy wiesz, ile razy wystrzeliłem, ja, w ciągu czterech lat wojny? Dwa razy. Nie lubię strzelać, nie lubię broni, nigdy nie chciałem jej nosić, nie bawi mnie zabijanie, prowadziłem moją wojnę siedząc za biurkiem, Salinas vel Szczur, pamiętasz? tak przezywali mnie twoi przyjaciele, wykiwałem ich wszystkich, jednego po drugim, rozszyfrowywałem ich zakodowane informacje i posyłałem moich szpiegów, żeby im deptali po piętach, oni mną gardzili, a ja ich kiwałem, tak było przez cztery lata, ale prawdą jest, że strzelałem tylko dwa razy, raz w nocy, gdy strzeliłem po ciemku, na oślep, drugi raz, ostatniego dnia wojny, strzeliłem do mojego brata

posłuchaj, weszliśmy do tego szpitala, zanim przyszło wojsko, chcieliśmy wejść pierwsi, żeby was wszystkich zabić, ale nie znaleźliśmy was, uciekliście stamtąd, prawda? wyczuliście pismo nosem, zdjęliście kitle oprawców i uciekliście, zostawiając wszystko tak, jak było, wszędzie łóżka, nawet na korytarzu, wszędzie chorzy, ale pamiętam dobrze, że nie słyszało się żadnego jęku, żadnego odgłosu, nic, nigdy tego nie zapomnę, panowała absolutna cisza, przez wszystkie noce mego życia będą ją słyszał, tę absolutną ciszę, tam w łóżkach byli nasi przyjaciele i my szliśmy ich wyswobodzić, uratować, ale kiedyśmy przyszli, przyjęli nas w milczeniu, bo nie mieli już nawet siły jęczeć, i prawdę powiedziawszy nie mieli już chęci żyć, nie chcieli być uratowani, taka jest prawda, doprowadziliście ich do takiego stanu, że chcieli już tylko umrzeć, jak najszybciej, nie chcieli być uratowani. Chcieli być zabici

znalazłem mojego brata w łóżku pośród innych, na dole w kaplicy, spojrzał na mnie, jakbym był fatamorganą, próbowałem do niego mówić, ale on nie odpowiadał, nie wiedziałem, czy mnie poznaje, pochyliłem się nad nim, błagałem, żeby się do mnie odezwał, prosiłem, żeby coś powiedział, miał szeroko otwarte oczy, oddychał bardzo wolno, to przypominało powolną agonię, stałem pochylony nad nim, gdy nagle usłyszałem jego głos, mówił Proszę cię, strasznie wolno, z nadludzkim wysiłkiem, głosem, który zdawał się płynąć z piekła, nie przypominał wcale jego głosu, mój brat miał głos dźwięczny, kiedy mówił, to jakby się śmiał, ale ten głos był zupełnie inny, powiedział wolno Proszę cię i dopiero po chwili powiedział jeszcze Zabij mnie, oczy miał bez wyrazu, nic, jakby to były cudze oczy, ciało nieruchome, tylko ten strasznie wolny oddech, który wznosił się i opadał

powiedziałem mu, że go stąd zabieram, że wszystko się skończyło i teraz ja się nim zajmę, ale on zapadł się znowu w swoje piekło, wrócił, skąd przyszedł, powiedział to, co chciał powiedzieć, a potem wrócił do swojego koszmaru, co ja mogłem zrobić? myślałem, jakby go stamtąd zabrać, rozejrzałem się za kimś, kto mógłby mi pomóc, chciałem go stamtąd zabrać, to pewne, ale nie mogłem się ruszyć, nie byłem się w stanie poruszyć, nie wiem, ile czasu minęło, pamiętam tylko, że w pewnej chwili obejrzałem się i zobaczyłem el Blanca, stał przy innym łóżku z pistoletem maszynowym na ramieniu i przyciskał poduszkę do twarzy tego chłopca, tego, który tam leżał

el Blanco płakał i przyciskał poduszkę, w ciszy kaplicy słychać było tylko jego szloch, chłopiec nawet się nie poruszył, nie wydał dźwięku, odchodził w milczeniu, ale za to el Blanco szlochał jak dziecko, potem podniósł poduszkę i palcami zamknął oczy chłopca, i wtedy na mnie spojrzał, ja na niego patrzyłem, a on spojrzał na mnie, chciałem go spytać Co ty robisz? ale nie mogłem wydać głosu, i w tej właśnie chwili ktoś wszedł i powiedział, że nadchodzi wojsko, że musimy uciekać, poczułem się zgubiony, nie chciałem, żeby mnie tu znaleźli, słyszałem kroki innych, którzy biegli korytarzami, wtedy wyciągnąłem delikatnie poduszkę spod głowy brata, przez chwilę patrzyłem w te straszne oczy, położyłem poduszkę na jego twarzy i zacząłem przyciskać, schylony nad bratem przyciskałem rękami poduszkę, czułem pod palcami kości twarzy mego brata, nie można od nikogo żądać, by zrobił coś takiego, nie mogłem tego żądać od siebie, próbowałem się przemóc, ale w pewnej chwili zrezygnowałem, odrzuciłem poduszkę, mój brat jeszcze oddychał, ale tak, jakby dobywał powietrze z dna piekła, to było potworne, nieruchome oczy i ten charkot, patrzyłem na niego i zdałem sobie sprawę, że krzyczę, słyszałem swój krzyk, ale jakby z daleka, jak monotony i bezsilny skowyt, nie mogłem go powstrzymać, płynął sam z siebie, krzyczałem jeszcze, gdy spostrzegłem el Blanca, stał przy mnie, nic nie mówił, ale podawał mi pistolet, kiedy ja krzyczałem, a wszyscy uciekali, my dwaj tam w środku, on mi podał pistolet, ja go wziąłem nie przestając krzyczeć, oparłem lufę na czole mojego brata i strzeliłem.

Spójrz na mnie, Roca. Powiedziałem, żebyś na mnie spojrzał. Ja przez całą wojnę strzeliłem tylko dwa razy, raz w nocy, na oślep, drugi raz, z bliska, strzeliłem do mojego brata.

Chcę ci coś powiedzieć. Strzelę jeszcze raz, ostatni.

Wtedy Roca znów zaczął krzyczeć.

– JA NIE MAM Z TYM NIC WSPÓLNEGO.

– TY NIE MASZ Z TYM NIC WSPÓLNEGO?

– NIE MAM NIC WSPÓLNEGO ZE SZPITALEM.

– CO TY, U DIABŁA, MÓWISZ?

– JA ROBIŁEM TO, CO MI KAZALI.

– TY...

– MNIE TAM NIE BYŁO, KIEDY...

– CO TY, KURWA, MÓWISZ...

– PRZYSIĘGAM, JA...

– TO BYŁ TWÓJ SZPITAL, DRANIU.

– MÓJ SZPITAL?

– TO BYŁ TWÓJ SZPITAL, TY BYŁEŚ LEKARZEM, KTÓRY SIĘ NIMI ZAJMOWAŁ, TY ICH ZABIŁEŚ, TY ICH WYKOŃCZYŁEŚ, ONI CI ICH PRZYSYŁALI, A TY ICH WYKAŃCZAŁEŚ...

– JA NIGDY...

– ZAMKNIJ SIĘ!

– PRZYSIĘGAM CI, SALINAS...

– ZAMKNIJ SIĘ!

– JA NIE...

– ZAMKNIJ SIĘ!

Salinas przyłożył lufę pistoletu do kolana Roki. Po czym strzelił. Kolano rozpadło się jak zgniły owoc. Roca opadł do tyłu i zwinął się na ziemi wyjąc z bólu. Salinas stał nad nim z pistoletem w ręku i krzyczał dalej.

– JA CIĘ ZABIJĘ, ZROZUMIAŁEŚ? ZARAZ CIĘ ZABIJĘ, DRANIU, ZABIJĘ CIĘ.

El Gurre zrobił krok do przodu. Stojący w drzwiach chłopak patrzył w milczeniu. Salinas krzyczał, jego kremowy garnitur spryskany był krwią, krzyczał dziwnym, piskliwym głosem, jakby płakał. Albo jakby nie był w stanie złapać tchu. Krzyczał, że go zabije. Potem wszyscy usłyszeli niewiarygodny głos, ktoś powiedział cicho:

– Idźcie stąd.

Odwrócili się i zobaczyli dziecko stojące w drugim kącie pokoju. Chłopczyk trzymał w ręku wycelowaną w nich strzelbę. Powiedział jeszcze raz, cicho:

– Idźcie stąd.

Nina słyszała ochryply głos ojca, który rzeził z bólu, a potem usłyszała głos swego brata. Pomyślała, że kiedy stąd wyjdzie, pójdzie do brata i powie mu, że ma piękny głos, bo naprawdę wydał jej się piękny, taki czysty i bezbrzeżnie dziecinny, ten głos, którym, słyszała to, wyszeptał powoli:

– Idźcie stąd.

– A TO KTO, DO CHOLERY...

– To syn, Salinas.

– Co TY, KURWA, MÓWISZ?

– To syn Roki – powiedział el Gurre.

Salinas zaklął niewyraźnie i zaczął krzyczeć, że tu miało nie być nikogo, NIKOGO MIAŁO TU NIE BYĆ, CO TO ZA HISTORIA, MÓWILIŚCIE, ŻE TU NIKOGO NIE MA, krzyczał i nie wiedział, w co wycelować pistolet, patrzył na el Gurrego, potem na chłopaka, w końcu spojrzał na dziecko ze strzelbą i krzyknął do niego, że jest cholernym głupcem, że nie wyjdzie stąd żywy, jeśli natychmiast tej przeklętej strzelby nie odłoży.

Chłopczyk stał w milczeniu i nie opuścił strzelby.

Wtedy Salinas przestał krzyczeć. Zaczął mówić głosem spokojnym i bezlitosnym. Powiedział dziecku, że teraz chyba już wie, jakim człowiekiem był jego ojciec, teraz wie, że był mordercą, że zamordował dziesiątki ludzi, czasem truł ich stopniowo swoimi lekami, ale niektórych zabił otwierając im klatkę piersiową i zostawiając tak, by umarli. Powiedział mu, że na własne oczy widział chłopców opuszczających ten szpital z uszkodzonym mózgiem, poruszali się z trudem, nie mówili i byli jak niedorozwinięte dzieci. Powiedział, że jego ojca nazywano Hieną, że nawet przyjaciele tak go nazywali, Hiena, i mówili to ze śmiechem. Roca rzeźił na ziemi. Zaczął szeptać cicho Ratunku, jak daleką – ratunku, ratunku, ratunku – litanie. Czuł, że zbliża się śmierć. Salinas nawet na niego nie spojrzał. Mówił nadal do dziecka. Chłopiec słuchał bez ruchu. W końcu Salinas mu powiedział, że tak się rzeczy mają, że już za późno, aby coś zrobić, choćby nawet trzymać w ręku strzelbę. Spojrzał mu w oczy z bezbrzeżnym znużeniem i spytał, czy zrozumiał, kim jest ten człowiek, czy to naprawdę zrozumiał. Ręką wskazał na Rocę. Chciał wiedzieć, czy chłopiec zrozumiał, kto to jest.

Chłopiec zebrał w jedną całość wszystko, co wiedział i co rozumiał z życia. Odparł:

– To mój ojciec.

Potem strzelił. Tylko raz. Na oślep.

El Gurre odpowiedział instynktownie. Seria poderwała dziecko z ziemi i cisnęła nim o ścianę, splątana masę ołowiu, kości i krwi. Jak ptak trafiony w locie, pomyślał Tito.

Salinas upadł na ziemię. Znalazł się tuż obok leżącego Roki. Przez chwilę dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Z gardła Roki wydobył się krzyk, głuchy, straszny. Salinas rzucił się do tyłu, pełznąco po podłodze. Odwrócił się na plecy, by nie czuć na sobie wzroku Roki. Zaczął się trząść. Naokoło była wielka cisza. Tylko ten straszny krzyk. Salinas uniósł się na łokciach i spojrzał w głąb pokoju. Ciało dziecka tkwiło oparte o ścianę, postrzępione przez kule, porozdzierane ranami. Strzelba potoczyła się na środek pokoju. Salinas zobaczył, że głowa dziecka odrzucona jest do tyłu i w otwartych ustach dostrzegł małe zęby, regularne i białe. Wtedy opadł w tył, na plecy. Przed oczami miał rząd belek na suficie. Drewno ciemne. Stare. Trząść się

na całym ciele. Nie był w stanie utrzymać w spokoju rąk, nóg, niczego.

Tito zrobił dwa kroki w jego stronę.

El Gurre zatrzymał go ruchem ręki.

Roca wył ohydny głosem, głosem człowieka, który umiera.

Salinas powiedział szeptem:

– Ucisz go.

Powiedział to, starając się zapanować nad zębami, które szczękały mu jak szalone.

El Gurre poszukał jego oczu, by zrozumieć, czego chce.

Oczy Salinasa wpatrywały się w sufit. Regularny rząd belek z ciemnego drewna. Starego.

– Ucisz go – powtórzył.

El Gurre zrobił krok do przodu. Roca krzyczał, leżąc we własnej krwi, z ohydnie otwartymi ustami.

El Gurre wsunął mu do gardła lufę pistoletu maszynowego.

Roca krzyczał dalej, przez ciepły metal lufy.

El Gurre strzelił. Krótką, suchą serią. Ostatnią w jego wojnie.

– Ucisz go – powiedział jeszcze raz Salinas.

Nina usłyszała ciszę, która budziła lęk. Wtedy złączyła ręce i wsunęła je między nogi. Skuliła się jeszcze bardziej, podciągając kolana do głowy. Pomyślała, że teraz wszystko się skończy. Ojciec przyjdzie po nią i pójdą na kolację. Pomyślała, że o tej historii nie będą już rozmawiać i że szybko o niej zapomną: pomyślała tak, bo była małą dziewczynką i nie mogła jeszcze wiedzieć.

– Dziewczynka – powiedział el Gurre.

Trzymał Salinasa za ramię, by pomóc mu się utrzymać na nogach. Powiedział do niego cicho:

– Dziewczynka.

Salinas miał spojrzenie puste, straszne.

– Jaka dziewczynka?

– Córnka Roki. Jeśli był tu chłopiec, to może i ona tu jest.

Salinas coś mruknął. Potem jednym szarpnięciem odepchnął el Gurrego. Oparł się o stół, by się utrzymać na nogach. Buty miał mokre od krwi Roki.

El Gurre skinał na Tita i skierował się do kuchni. Przechodząc obok chłopca pochylił się na chwilę i zamknął mu oczy. Nie jak ojciec. Jak ktoś, kto wychodząc z pokoju zgasiłby światło.

Tito pomyślał o oczach swego ojca. Pewnego dnia zapukali do drzwi. Tito nigdy ich przedtem nie widział. Ale oni powiedzieli, że mają dla niego wiadomość. Po czym podali mu płócienny woreczek. On go otworzył i znalazł w środku oczy swego ojca. Sam zdecydował, chłopcze, po której jesteś stronie, powiedzieli. I odeszli.

Tito zobaczył zaciągniętą zasłonę w drugim końcu pokoju. Odbezpieczył pistolet i zbliżył

się. Odsunął zasłonę. Wszedł do małego pomieszczenia. Panował tu wielki bałagan. Krzesła przewracane do góry nogami, kufry, narzędzia i kosze pełne na wpół zgniłych owoców. Unosił się silny zapach zgnilizny. I wilgoci. Kurz na podłodze był zastanawiający: wyglądało, że ktoś powłóczył po nim nogami. Albo coś włókł.

Słysząc było, jak el Gurre w drugim końcu domu stuka pistoletem w ściany w poszukiwaniu ukrytych drzwi. Salinas zapewne stał nadal oparty o stół i dygotał. Tito odsunął jeden kosz z owocami. Rozpoznał na podłodze zarys włazu. Stuknął mocno butem o podłogę, żeby usłyszeć, jaki wydaje odgłos. Przesunął dwa inne kosze. To był mały, starannie wycięty wąż. Tito podniósł oczy. Przez okienko widać było, że na dworze jest ciemno. Nawet nie zauważył, że zapadła noc. Pomyślał, że czas stąd odejść. Potem klęknął na ziemi i uniósł pokrywę włazu. W środku była dziewczynka, skulona na boku, z rękami wsuniętymi między uda, głową lekko pochyloną do przodu, w stronę kolan. Oczy miała otwarte.

Tito wycelował w dziewczynkę z pistoletu.

– SALINAS! – krzyknął.

Dziewczynka odwróciła głowę i spojrzała na niego. Miała oczy ciemne, o dziwnym wykroju. Patrzyła na niego bez żadnego wyrazu. Usta miała rozchylone i oddychała spokojnie. Była jak zwierzę w swojej norze. Tito doznał nagle wrażenia doświadczanego tysiąc razy, gdy zajmował dokładnie taką samą pozycję w ciepłe prześcieradeł czy w popołudniowym słońcu, w dzieciństwie. Podkulone kolana, ręce wsunięte między nogi, stopy jedna nad drugą. Głowa pochylona lekko do przodu, zamykająca krąg. Boże, jakież to było piękne, pomyślał. Skóra dziewczynki była biała, a zarys jej warg idealny. Nogi wysuwały się spod czerwonej spódniczki i wyglądały jak narysowane. Wszystko było takie porządne. Wszystko było takie doskonałe.

Precyzyjne.

Dziewczynka odwróciła znowu głowę, nie zmieniając pozycji. Pochyliła ją lekko do przodu, zamykając krąg. Tito zdał sobie sprawę, że z za zasłony nikt nie odpowiedział. Minęło już trochę czasu, a jednak nikt nie odpowiedział. Słysząc było, jak el Gurre stuka pistoletem w ściany. Głuchy, pedantyczny odgłos. Na dworze było ciemno. Tito opuścił pokrywę włazu. Powoli. Przez chwilę pozostał na kolanach, by zobaczyć, czy przez szpary w podłodze widać dziewczynkę. Chciał pomyśleć. Ale nie był w stanie. Czasami jest się zbyt zmęczonym, aby myśleć. Podniósł się. Odstawił kosze na miejsce. Czuł, jak serce bije mu w skroniach.

Wyszli w noc jak pijani. El Gurre podtrzymywał Salinasa, popychając go do przodu. Tito szedł za nimi. Gdzieś czekał na nich stary mercedes. Przeszli kilkadziesiąt metrów, nie zamieniwszy ze sobą słowa. Potem Salinas powiedział coś do el Gurrego i el Gurre zawrócił w stronę farmy. Nie wydawał się zbyt przekonany, ale zawrócił. Salinas wsparł się na Ticie i kazał mu iść. Przeszli obok sterty drewna i zeszli z drogi na biegnącą przez pola ścieżkę. Wokół panowała wielka cisza i dlatego może Ticie nie udało się powiedzieć tego zdania, które miał w

głowie i które postanowił powiedzieć. Tam w środku jest jeszcze dziewczynka. Był zmęczony i cisza była zbyt wielka. Salinas przystanął. Trząśnięty i szedł z najwyższym trudem. Tito powiedział coś do niego po cichu, po czym odwrócił się i spojrzał do tyłu, w stronę farmy. Ujrzał biegnącego ku nim el Gurrego a za nim ujrzał farmę, która rozdzierała ciemności płonąca trawiącym ją pożarem. Zewsząd buchały płomienie i chmura czarnego dymu unosiła się z wolna w noc. Tito oderwał się od Salinasa i patrzył jak skamieniały. El Gurre dogonił ich i nie zatrzymując się powiedział Idziemy, chłopcze. Ale Tito się nie poruszył.

– Coś ty, u diabła, zrobił? – zapytał.

El Gurre próbował pociągnąć Salinasa. Powtórzył, że trzeba iść. Wtedy Tito chwycił go za gardło i zaczął krzyczeć mu w twarz COŚ TY, U DIABŁA, ZROBIŁ?

– Spokój, chłopcze – powiedział el Gurre.

Ale Tito nie przestawał, zaczął krzyczeć coraz głośniejszym głosem, COŚ TY, U DIABŁA, ZROBIŁ? potrząsając el Gurrem jak szmacianą lalką, COŚ TY, U DIABŁA, ZROBIŁ? uniósł go w górę i nie przestawał potrząsać nim w powietrzu COŚ TY, U DIABŁA, ZROBIŁ? dopóki Salinas nie zaczął także krzyczeć PRZESTAŃ, CHŁOPCZE, wyglądali jak trzech wariatów pozostawionych na ciemnej scenie, JUŻ PRZESTAŃ! Teatru w gruzach.

W końcu powlekli Tita siłą. Blaski pożaru rozświetlały noc. Przecięli jakieś pole i doszli do drogi, idąc korytem dawnego strumienia. Kiedy już zobaczyli starego mercedesa, el Gurre położył rękę na ramieniu Tita i powiedział cicho, że dobrze się spisał i że teraz jest już po wszystkim. Ale on nie przestał powtarzać tamtego zdania. Nie krzyczał. Mówił cicho, głosem małego dziecka. Co myśmy, u diabła, zrobili. Co myśmy, u diabła, zrobili. Co myśmy, u diabła, zrobili.

Stara farma Mato Rujo tkwiła ślepa pośród pól, odcinając się płomienną czerwienią od mroku nocy. Jedyne płama na tle pustej przestrzeni równiny.

Trzy dni później jakiś mężczyzna podjechał konno do farmy Mato Rujo. Ubranie miał w strzępach i był brudny. Koń był nędzną chabetą, sama skóra i kości. Miał chore oczy i muchy krążyły wokół żółtej wydzieliny ciekącej mu po pysku.

Mężczyzna ujrzał mury farmy, które sterczały, poczerniały i niepotrzebne, pośrodku olbrzymiego, wypalonego rusztu. Wyglądały jak ocalałe zęby w ustach starca. Pożar strawił także wielki dąb, który od lat użyczał domowi cienia. Niczym czarny szpon, śmierdział nieszczęściem.

Mężczyzna pozostał w siodle. Jadąc stępą, zatoczył półokrąg wokół farmy. Zbliżył się do studni i nie zsiadając z konia odwiązał wiadro i spuścił je w dół. Usłyszał uderzenie blachy o wodę. Podniósł wzrok na farmę. Zobaczył, że na ziemi, oparta o to, co zostało z muru, siedziała dziewczynka. Wpatrywała się w niego nieruchomymi oczami, które błyszczały w brudnej od dymu twarzy. Miała czerwoną spódnice. Była cała podrapana. Lub poraniona.

Mężczyzna wyciągnął wiadro ze studni. Woda była prawie czarna. Zamieszał lekko cynowym czerpakiem, ale czarny osad nie znikał. Nappełnił czerpak, podniósł go do ust i wypił długi łyk. Spojrzał raz jeszcze na wodę w wiadrze. Splunął do środka. Potem postawił wszystko na brzegu studni i ścisnął piętami brzuch konia.

Podjechał do dziewczynki. Ona podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Zdawało się, że nie ma nic do powiedzenia. Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę. Oczom, wargom, włosom. Potem podał jej rękę. Ona wstała, ujęła rękę mężczyzny, a on ją wciągnął na grzbiet konia, za siebie. Stara chabeta poprawiła się na nogach. Dwa razy podzuciła łbem. Mężczyzna wydał wargami dziwny dźwięk i koń się uspokoił.

Kiedy oddalali się od farmy, truchtem, w palącym słońcu, dziewczynka spuściła głowę i, z czołem wspartym na brudnych plecach mężczyzny, zasnęła.

Dwa

Zapaliło się zielone światło i kobieta przeszła przez ulicę. Szła patrząc pod nogi, bo przed chwilą przestało padać i w zagłębieniach asfaltu zostały kałuże przypominające o tym nieoczekiwanym wczesnowiosennym deszczu. Szła krokiem eleganckim, dostosowanym do wąskiej spódnicy czarnego kostiumu. Widziała i omijała kałuże.

Znalazszy się na przeciwległym chodniku, przystanęła. Przechodzili ludzie, wypełniając późne popołudnie krokami wiodącymi do domu czy na przechadzkę. Kobięcie podobało się uczucie, że zalewa ją miasto, toteż stała tak przez chwilę na środku chodnika, nieprzenikniona, jak kobieta, którą właśnie zostawił kochanek. Niezdolna się z tym pogodzić.

Potem zdecydowała się iść w prawo i ruszyła w tę stronę, dołączając do ogółu idących. Szła bez pośpiechu, podchodząc do wystaw, owinięta szalem, który przytrzymała na piersi. Mimo swojego wieku, szła, wysoka i spokojna, młodzieńczym krokiem, który jej siwym włosom nadawał coś szlachetnego. Siwe włosy zebrane były na karku i spięte ciemnym grzebieniem, jak u młodej dziewczyny.

Zatrzymała się przed wystawą ze sprzętem elektronicznym i przez chwilę patrzyła na ścianę telewizorów, która wysyłała zbytecznie zwielokrotniony obraz tego samego spikera dziennika telewizyjnego. Ale w różnych odcieniach kolorystycznych, które ją zaciekały. Ukazał się materiał z jakiegoś ogarniętego wojną miasta i kobieta poszła dalej. Przeszła ulicę Medina, potem placik Divino Soccorso. Kiedy dotarła do galerii Florencia odwróciła głowę, by spojrzeć w perspektywę światła ciągnących się wewnątrz pałacu, aż do wyjścia po drugiej stronie na aleję 24 Lipca. Przystanęła. Podniosła wzrok szukając czegoś na żelaznym łuku zwieńczającym wielką bramę wejściową. Ale nic nie znalazła. Weszła do galerii i po kilku krokach zatrzymała jakiegoś mężczyznę. Przeprosiła go i spytała, jak się to miejsce nazywa. Mężczyzna odpowiedział. Wtedy podziękowała mu i powiedziała, że ten wieczór będzie dla niego bardzo piękny. Mężczyzna uśmiechnął się.

W ten sposób zaczęła iść galerią Florencia i w pewnej chwili, ze dwadzieścia metrów przed

sobą, ujrzała mały kiosk, który odstawał od ściany po lewej stronie, psując na chwilę czysty rysunek galerii. Był to jeden z tych kiosków, w których sprzedaje się losy na loterię. Poszła jeszcze kawałek do przodu, ale gdy znalazła się o kilka kroków od kiosku, przystanęła. Zobaczyła, że sprzedawca losów siedzi, czytając gazetę. Trzymał ją opartą o coś przed sobą i czytał. Kiosk miał wszystkie ściany ze szkła, z wyjątkiem tej, która opierała się o mur. Wewnątrz widać było sprzedawcę losów i mnóstwo kolorowych pasków zwieszających się z góry. Z przodu było okienko, przez które sprzedawca losów rozmawiał z ludźmi.

Kobieta odgarnęła do tyłu kosmyk włosów, który opadł jej na oczy. Odwróciła się i przez chwilę patrzyła na dziewczynę, która wyszła z jakiegoś sklepu pchając przed sobą wózek. Potem znowu spojrzała na kiosk.

Sprzedawca losów czytał.

Kobieta podeszła i nachyliła się do okienka.

– Dobry wieczór – powiedziała.

Mężczyzna podniósł oczy znad gazety. Chciał coś powiedzieć, ale gdy zobaczył twarz kobiety, zatrzymał się i nic już nie powiedział. Siedział i patrzył na nią.

– Chciałam kupić los.

Mężczyzna kiwnął głową. Potem jednak powiedział coś, co wydawało się od rzeczy.

– Długo pani czekała?

– Nie, dlaczego?

Mężczyzna potrząsnął głową, patrząc na nią nadal.

– Nieważne, przepraszam – powiedział.

– Chciałam los – powiedziała ona.

Wtedy mężczyzna odwrócił się i zaczął błądzić ręką po paskach wiszących za jego plecami. Kobieta wskazała jeden, dłuższy od innych.

– Tamten... czy może go pan dać z tamtego paska?

– Tego?

– Tak.

Mężczyzna oderwał los. Rzucił okiem na numer i skinął głową z aprobatą. Położył go na drewnianym blacie między sobą a kobietą.

– To dobry numer.

– Tak pan mówi?

Mężczyzna nie odpowiedział, bo przyglądał się twarzy kobiety i patrzył tak, jakby czegoś w niej szukał.

– Powiedział pan, że to dobry numer?

Mężczyzna spuścił oczy na los.

– Tak, ma dwie ósemki ustawione symetrycznie i sumy są równe.

– Co to znaczy?

– Jeśli postawi pani kreskę w środku numeru, suma cyfr z prawej strony będzie taka sama jak z lewej. Na ogół przynosi to szczęście.

– A skąd pan to wie?

– To mój zawód.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Ma pan rację.

Położyła na blacie pieniądze.

– Pan nie jest ślepy – powiedziała.

– Słucham?

– Pan nie jest ślepy, prawda?

Mężczyzna zaczął się śmiać.

– Nie, nie jestem.

– To ciekawe...

– Dlaczego miałbym być ślepy?

– Ba, ci którzy sprzedają losy na loterię zawsze są tacy.

– Naprawdę?

– Może nie zawsze, ale często... sędzę, że ludziom podoba się to, że ci sprzedawcy są ślepi.

– W jakim sensie?

– Nie wiem, myślę, że to ma coś wspólnego z tą historią, że los jest ślepy.

Kobieta powiedziała to i zaczęła się śmiać. Miała piękny śmiech, nie było w nim słyhać znużenia.

– Na ogół są bardzo starzy i rozglądają się naokoło jak ptaki tropikalne na wystawie sklepu ze zwierzętami.

Powiedziała to z wielkim przekonaniem.

Po czym dodała:

– Pan jest inny.

Mężczyzna powiedział, że istotnie nie jest ślepy. Ale jest stary.

– Ile pan ma lat? – zapytała kobieta.

– Mam siedemdziesiąt dwa lata – odparł mężczyzna.

I dodał:

– Mnie ta praca odpowiada, nie mam problemów, to dobra praca.

Powiedział to cicho. Spokojnie.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Z pewnością. Nie to chciałam powiedzieć...

– To praca, którą lubię.

– Jestem tego pewna.

Wzięła los i wsunęła go do eleganckiej czarnej torebki. Potem na chwilę odwróciła się, jakby chciała coś sprawdzić albo zobaczyć, czy za nią nie czeka ktoś w kolejce. W końcu, zamiast pożegnać się i odejść, powiedziała coś jeszcze.

– Zastanawiałam się, czy nie miałby pan ochoty wypić ze mną szklaneczki.

Mężczyzna wkładał właśnie pieniądze do kasy. Zatrzymał się z ręką w powietrzu.

– Ja?

– Tak.

– Ja... nie mogę.

Kobieta patrzyła na niego.

– Kiosk musi być otwarty, nie mogę teraz wyjść, nie mam tu nikogo, kto... ja nie...

– Tylko jedną szklaneczkę.

– Przykro mi... naprawdę nie mogę tego zrobić.

Kobieta kiwnęła głową, jakby to zrozumiała. Ale potem nachyliła się lekko do mężczyzny i powiedziała:

– Proszę ze mną pójść.

Mężczyzna powiedział jeszcze:

– Ależ proszę pani.

Ona jednak powtórzyła:

– Proszę ze mną pójść.

To było dziwne. Mężczyzna złożył gazetę i zszedł ze stolka. Zdjął okulary. Wsunął je do futerału z szarego płótna. Potem bardzo starannie zaczął zamykać kiosk. Wykonywał jeden gest po drugim, bardzo powoli, w milczeniu, jak każdego innego wieczoru. Kobieta czekała, stojąc spokojnie, jakby to jej nie dotyczyło. Co jakiś czas ktoś przechodził i odwracał się, by na nią spojrzeć. Bo wydawała się samotna i była piękna. Bo nie była młoda i wydawała się samotna. Mężczyzna zgasił światło. Spuścił małą żaluzję i umocował ją na dole kłódką. Włożył lekki płaszcz, opadający nieco na ramionach. Podszedł do kobiety.

– Skończyłem.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Nie wie pan, gdzie byśmy mogli pójść?

– Tu niedaleko. Tam jest kawiarnia, gdzie można spokojnie posiedzieć.

Weszli do lokalu, znaleźli stolik w kącie i usiedli naprzeciw siebie. Zamówili dwa kieliszki wina. Kobieta zapytała kelnera, czy mają papierosy. I zaczęli palić. Potem mówili o wszystkim i niczym, i o tych, którzy wygrywają na loterii. Mężczyzna powiedział, że na ogół nie potrafią utrzymać tego w tajemnicy i, co najśmieszniejsze, pierwszą osobą, której to mówią, jest zawsze

jakieś dziecko. Prawdopodobnie jest w tym wszystkim jakiś morał, ale on nie potrafił nigdy zrozumieć, jaki. Kobieta powiedziała coś o historiach, które mają morał, i takich, które go nie mają. Rozmawiali tak przez pewien czas. Potem on powiedział, że wie, kim ona jest i po co tu przyszła.

Kobieta nie odezwała się. Czekala.

Więc mężczyzna zaczął mówić dalej.

– Przed wielu laty widziała pani trzech mężczyzn, którzy z zimną krwią zabili pani ojca. Ja jestem ostatnim z tych trzech, który jeszcze żyje.

Kobieta patrzyła na niego uważnie. Ale nie sposób było poznać, co myśli.

– Pani przybyła aż tutaj, aby mnie odnaleźć.

Mówił spokojnie. Nie był zdenerwowany, ani trochę.

– Teraz mnie pani znalazła.

Potem przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, bo on nie miał już nic więcej do powiedzenia, a ona nic nie mówiła.

– Kiedy byłam dzieckiem, nazywałam się Nina. Ale tamtego dnia wszystko się skończyło. Nikt mnie już nigdy tym imieniem nie nazwał.

– ...

– Podobało mi się: Nina.

– ...

– Teraz mam dużo imion. Jest inaczej.

– Na początku pamiętam rodzaj sierocińca. Nic poza tym. Potem przyszedł mężczyzna, który nazywał się Ricardo Uribe i zabrał mnie ze sobą. Był aptekarzem w jakiejś zapadłej dziurze. Nie miał żony ani krewnych, nikogo. Powiedział wszystkim, że jestem jego córką. Mieszkał tam od kilku zaledwie miesięcy. Ludzie mu uwierzyli. W dzień trzymał mnie na zapleczu apteki. Między jednym klientem a drugim udzielał mi lekcji. Nie wiem dlaczego, ale nie lubił, jak chodziłam gdzieś sama. Tego, co jest do nauczenia, mówił, możesz nauczyć się ode mnie. Miałam jedenaście lat. Wieczorem siadał na kanapie i kazał mi się kłaść obok siebie. Opierałam mu głowę na kolanach i słuchałam jego słów. Opowiadał dziwne historie wojenne. Jego palce gładziły mnie po włosach, tam i z powrotem, powoli. Czułam jego członka pod tkaniną spodni. Potem całował mnie w czoło i mogłam iść spać. Miałam swój własny pokój. Pomagałam mu sprzątać aptekę i dom. Prałam i gotowałam. Wydawał się porządnym człowiekiem. Bardzo się bał, ale nie wiem czego.

...

Pewnego wieczoru pochylił się nade mną i pocałował mnie w usta. Całował mnie dalej, a

jednocześnie wsuwał mi ręce pod spódnicę i wszędzie. Ja nie reagowałam. A potem nagle oderwał się ode mnie i zaczął płakać i prosić, żebym mu wybaczyła. Wydał się raptem przerażony. Ja nie rozumiałam. Parę dni później powiedział, że mi znalazł narzeczonego. Chłopaka z Rio Galvan, jednego z pobliskich miasteczek. Był murarzem. Miałam go poślubić zaraz po osiągnięciu odpowiedniego wieku. Następnej niedzieli poszłam się z nim spotkać na rynku. To był piękny chłopak, wysoki i chudy, bardzo chudy. Poruszał się wolno, może był chory czy coś w tym rodzaju. Przywitaliśmy się i wróciłam do domu.

...

To historia jak wiele innych. Dlaczego chce jej pan słuchać?

Mężczyzna pomyślał, że ona mówi w jakiś dziwny sposób. Jakby nie była przyzwyczajona do mówienia. Albo jakby to nie był jej język. Szukała słów patrząc w pustkę.

– Kilka miesięcy później, pewnego zimowego wieczoru, Uribe wyszedł z domu, by udać się do Rivieri. To był rodzaj tawerny, gdzie uprawiano hazard. Uribe chodził tam co tydzień, zawsze tego samego dnia, w piątek. Tamtego razu grał do późnych godzin. Potem znalazł się z kareta waleatów w rękę przed pułą, w której było więcej pieniędzy, niż on mógł zobaczyć w ciągu roku. To była sprawa między nim a hrabią Torrelavid. Inni wyłożyli trochę pieniędzy i dali spokój. Ale hrabia poszedł w zaparte. Ciągłe podbijał. Uribe był pewny swoich kart i dotrzymywał mu kroku. Doszli do tego punktu, w którym gracze tracą poczucie rzeczywistości. I zdarzyło się, że hrabia rzucił na szalę swoją fazendę Belsito. Wtedy w tawernie wszystko zamarło. Pan grywa hazardowo?

– Nie – powiedział mężczyzna.

– To nie sędzę, by mógł to pan zrozumieć.

– Proszę się przekonać.

– Nie zrozumie pan.

– To nieważne.

– Wszystko zamarło. I zapadła cisza, której pan nie rozumie.

Kobieta wyjaśniła, że fazenda Belsito była najpiękniejsza w okolicy. Wysadzana drzewami pomarańczowymi aleja prowadziła na szczyt wzgórza i tam, z domu, można było zobaczyć ocean.

– Uribe powiedział, że nie ma do postawienia niczego, co byłoby warte Belsito. I położył karty na stole. Wtedy hrabia stwierdził, że może przecież postawić aptekę, a potem zaczął śmiać się jak szalony, a razem z nim śmiali się niektórzy z tych, którzy stali dokoła. Uribe uśmiechał się. Trzymał jeszcze jedną rękę na kartach. Jakby się z nimi żegnał. Hrabia spoważniał, nachylił się do przodu, nad stołem, spojrzął Uribem w oczy i powiedział:

– Ale masz piękną dziewczynkę.

Uribe nie od razu zrozumiał. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych i nie był w stanie myśleć. Hrabia uprosił sytuację:

– Belsito przeciw twojej dziewczynce, Uribe. To ucziwa propozycja.

I położył na stole swoich pięć zakrytych kart, przed samym nosem Uribego.

Uribe spojrział, nie dotykając ich.

Powiedział coś cicho, ale nikt nie potrafił mi nigdy powiedzieć, co.

Potem popchnął po stole swoje karty w stronę hrabiego.

Hrabia zabrał mnie do siebie tej samej nocy. Zrobił rzecz zaskakującą. Poczekał szesnaście miesięcy i kiedy skończyłam czternaście lat, poślubił mnie. Dałam mu trzech synów.

...

Trudno zrozumieć mężczyzn. Przed tamtą nocą hrabia widział mnie tylko jeden raz. Siedział w kawiarni, a ja przechodziłam przez plac. Zapytał kogoś:

– Kto to jest ta mała?

I powiedziano mu.

Na dworze znowu zaczęło padać, toteż kawiarnia wypełniła się ludźmi. Aby się zrozumieć, trzeba było mówić głośniej. Albo zbliżyć się do siebie. Mężczyzna powiedział kobiecie, że jej sposób opowiadania jest dziwny: jakby opowiadała o życiu kogoś innego.

– To znaczy?

– Jakby to pani nic nie obchodziło.

Kobieta powiedziała, że przeciwnie, wszystko za bardzo ją obchodzi. Powiedziała, że myśli z nostalgią o każdej rzeczy, która jej się przytrafiła. Ale powiedziała to głosem twardym, bez cienia melancholii. Wtedy mężczyzna umilkł i przez chwilę patrzył na otaczających go ludzi.

Pomyślał o Salinasie. Pewnego ranka znaleziono go w łóżku martwego, dwa lata po tamtej historii z Rocą. Coś z sercem, powiedziano. Potem okazało się, że jego lekarz truł go, dzień po dniu, powoli, przez wiele miesięcy. Powolna agonia. Okrutna. Prowadzono w tej sprawie dochodzenie, ale nic nie odkryto. Lekarz nazywał się Astarte. W czasie wojny zarobił trochę pieniędzy na preparacie przeciw gorączkom i infekcjom. Sam go wynalazł, z pomocą pewnego farmaceuty. Preparat nazywał się botren. Farmaceuta nazywał się Ricardo Uribe. W czasie gdy Astarte wynalazł lek, Uribe pracował w stolicy. Po wojnie miał trochę kłopotów z policją. Najpierw znaleziono jego nazwisko na liście osób zaopatrujących w leki szpital Hieny, potem znalazł się ktoś, kto twierdził, że go widział przy pracy w szpitalu. Ale wielu twierdziło również, że to porządny człowiek. Uribe stanął przed komisją śledczą, wyjaśnił wszystko, a kiedy go zwolniono, wziął swoje rzeczy i wyjechał do małego miasteczka, w zapadły kąt na południu kraju. Kupił aptekę i wrócił do swego zawodu. Mieszkał sam z małą córeczką, która nazywała się

Dulce. Mówił, że jej matka umarła przed laty. Wszyscy mu wierzyli.

W ten sposób ukrywał Ninę, ocalałą córkę Manuela Roki.

Mężczyzna rozglądał się wkoło, ale nic nie widział. Był pogrążony w swoich myślach. Okrucieństwo dzieci.

Poruszyliśmy ziemię tak gwałtownie, że obudziliśmy okrucieństwo w dzieciach.

Odwrócił się znowu do kobiety. Przyglądała mu się. Usłyszał jej głos, pytający:

– Czy to prawda, że nazywano pana Tito?

Kiwnął głową potwierdzająco.

– Czy przedtem znał pan mojego ojca?

– ...

– ...

– Wiedziałem, kim jest.

– Czy to prawda, że pan strzelił do niego pierwszy?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Czy to ważne...

– Pan miał dwadzieścia lat. Był pan najmłodszy. Walczył dopiero od roku. El Gurre traktował pana jak syna.

Potem zapytała go, czy pamięta.

Mężczyzna patrzył na nią nadal. I dopiero w tej chwili, w końcu, zobaczył naprawdę w jej twarzy twarz tamtej dziewczynki leżącej pod podłogą, nieskazitelnej i niewinnej, doskonałej. Zobaczył w tych oczach tamte oczy i tamtą niesłychaną siłę w spokoju tej zmęczonej piękności. Dziewczynka: odwróciła się i spojrzała na niego. Dziewczynka: teraz jest tutaj. Jaki zawrotny może być czas. Gdzie ja jestem? zapytał siebie mężczyzna. Tu czy wtedy? Czy choć przez chwilę byłem gdzie indziej?

Mężczyzna powiedział, że pamięta. Że przez lata nie robił nic innego, tylko wciąż przypominał sobie to wszystko.

– Przez lata zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Ale w końcu prawdą jest, że nigdy nikomu o tym nie powiedziałem. Nikomu nigdy nie powiedziałem, że tamtego wieczoru pani była tam na dole. Może pani nie wierzyć, ale tak było. Z początku, oczywiście, nie mówiłem, bo się bałem. Ale potem, z upływem czasu, była to inna sprawa. Wojną nikt się już nie zajmował, ludzie chcieli patrzeć w przyszłość, przestało ich obchodzić to, co się zdarzyło. Wszystko zdawało się pogrzebane na zawsze. A ja zacząłem myśleć, że lepiej o wszystkim zapomnieć. Dać spokój. W pewnej chwili jednak okazało się, że córka Roki żyje, że gdzieś jest, że ją ukrywają w jakiejś wiosce na południu kraju. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby wyszła żywa z tego piekła, ale z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. W

końcu ktoś ją zobaczył i przysięgał, że to ona. W ten sposób zrozumiałem, że już się od tej historii nie uwolnię. Ani ja, ani inni. Zacząłem, oczywiście, zastanawiać się, co ona mogła zobaczyć i usłyszeć tamtego wieczoru na farmie. I czy mogła zapamiętać moją twarz. Trudno też było przewidzieć, co może zrodzić się w głowie dziecka wobec czegoś takiego. Dorośli mają pamięć, mają poczucie sprawiedliwości, często znajdują upodobanie w zemście. Ale mała dziewczynka? Przez jakiś czas trwałem w przekonaniu, że nic się nie zdarzy. Ale potem umarł Salinas. W ten dziwny sposób.

Kobieta słuchała go, nieruchoma.

Zapytał, czy chce, aby mówił dalej.

– Proszę mówić – powiedziała.

– Okazało się, że coś wspólnego z tym ma Uribe.

Kobieta patrzyła na niego bez wyrazu. Jej wargi były rozchylone.

– To mógł być zbieg okoliczności, ale rzeczywiście było to dziwne. Powoli wszyscy nabrali przekonania, że ta dziewczynka coś wie. Teraz trudno to zrozumieć, ale wtedy czasy były osobliwe. Kraj szedł do przodu, zostawiając za sobą wojnę, z niewiarygodną szybkością zapominając o wszystkim. Ale było mnóstwo takich, dla których wojna trwała nadal i którzy nie potrafili jakoś włączyć się w życie tego szczęśliwego kraju. Ja byłem jednym z nich. My wszyscy należeliśmy do nich. Dla nas nic się jeszcze nie skończyło. I ta dziewczynka była niebezpieczna. Mówiliśmy o tym długo. Bo ze śmiercią Salinasa nikt nie mógł się pogodzić. I w końcu postanowiono, że dziewczynkę trzeba w jakiś sposób usunąć. Ja wiem, że to zakrawa na szaleństwo, ale w rzeczywistości to było bardzo logiczne: straszne i logiczne. Postanowiono ją usunąć i zlecono to hrabiemu Torrelavid.

Mężczyzna przerwał na chwilę. Patrzył na swoje ręce. Wydawało się, że porządkuje wspomnienia.

– To był ktoś, kto przez całą wojnę prowadził podwójną grę. Pracował dla nich, ale był jednym z nas. Poszedł do Uribego i zapytał go, czy woli spędzić życie w więzieniu za zabicie Salinasa, czy zniknąć i zostawić mu dziewczynkę. Uribe był tchórzem. Gdyby tylko siedział spokojnie, żaden trybunał nie byłby w stanie niczego mu zrobić. Ale przestraszył się i wyjechał. Zostawił dziewczynkę hrabiemu i wyjechał. Umarł dziesięć lat później w zapadłej wiosce po drugiej stronie granicy. Zostawił list, w którym napisał, że on nic nie zrobił i że Bóg wtrąci do piekła jego wrogów.

Kobieta odwróciła się, by spojrzeć na dziewczynę, śmiejącą się głośno przy barze. Potem podniosła szal, który przedtem powiesiła na oparciu krzesła, i narzuciła go sobie na ramiona.

– Proszę mówić dalej – powiedziała.

Mężczyzna mówił dalej.

– Wszyscy się spodziewali, że hrabia ją zlikwiduje. On jednak tego nie zrobił. Zatrzymał ją u

siebie w domu. Dali mu do zrozumienia, że musi ją zabić. Ale on nic nie zrobił i dalej ukrywał ją w domu. W końcu powiedział: nie musicie się martwić o dziewczynkę. I poślubił ją. Przez wiele miesięcy nie mówiono w tamtych stronach o niczym innym. A potem ludzie przestali o tym myśleć. Dziewczynka urosła i dała hrabiemu trzech synów. Nikt nigdy nie widział, żeby gdzieś chodziła. Nazywano ją Donna Sol, bo takie imię dał jej hrabia. Mówiono o niej dziwne rzeczy. Że nie mówi. Że nigdy nie mówiła. Począwszy od czasów Uriwego, nikt nigdy nie słyszał, żeby powiedziała choć słowo. Może to była jakaś choroba. Może po prostu urodziła się taka. Ludzie, nie wiedząc czemu, bali się jej.

Kobieta uśmiechnęła się. Odgarnęła do tyłu włosy ruchem małej dziewczynki.

Ponieważ zrobiło się późno, przyszedł kelner i zapytał, czy chcą tutaj coś zjeść. W kącie kawiarni pojawiło się trzech osobników, którzy zaczęli grać. Grali muzykę taneczną. Mężczyzna powiedział, że nie jest głodny.

– Ja zapraszam – powiedziała kobieta z uśmiechem.

Mężczyźnie wydało się to absurdalne. Ale kobieta nalegała. Powiedziała, że mogą zjeść coś słodkiego.

– Może być coś słodkiego?

Mężczyzna przytaknął.

– W porządku, wobec tego coś słodkiego. Weźmiemy coś słodkiego.

Kelner powiedział, że to dobry pomysł. Po czym dodał, że mogą tu zostać, jak długo zechcą. Nie muszą się przejmować. Był to młody chłopak, mówił z dziwnym akcentem. Zobaczyli, jak wraca do baru, wykrzykując zamówienie w stronę kogoś niewidzialnego.

– Często pan tu przychodzi? – zapytała kobieta.

– Nie.

– To ładne miejsce.

Mężczyzna rozejrzał się. Powiedział, że istotnie.

– Te wszystkie historie opowiedzieli panu pańscy przyjaciele?

– Tak.

– I pan w to wierzy?

– Tak.

Kobieta powiedziała coś po cichu. Potem poprosiła mężczyznę, by opowiedział jej resztę.

– Po co?

– Niech pan to zrobi, proszę.

– To nie jest moja historia, tylko pani. Pani zna ją lepiej ode mnie.

– To nie jest takie pewne.

Mężczyzna potrząsnął głową.

Zaczął znowu wpatrywać się w swoje ręce.

– Pewnego dnia wsiadłem w pociąg i pojechałem do Belsito. Minęło tyle lat. Mogłem sypiać w nocy, a ludzie już nie nazywali mnie Tito. Myślałem, że mi się udało, że wojna skończyła się naprawdę i że została już tylko jedna rzecz do zrobienia. Wsiadłem w pociąg i przyjechałem do Belsito, by opowiedzieć hrabiemu tę historię z włazem i z dziewczynką, i wszystko. On wiedział, kim jestem. Był bardzo miły, zaprowadził mnie do biblioteki, podał coś do picia i zapytał, czego potrzebuję. Ja powiedziałem:

– Przypomina pan sobie historię tamtej nocy na farmie Mato Rujo?

A on powiedział:

– Nie.

– Nocy Manuela Roki...

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Powiedział to bardzo spokojnie, wręcz łagodnie.

Był pewny siebie. Nie miał wątpliwości.

Zrozumiałem. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o pracy, a nawet o polityce, po czym podniosłem się i wyszedłem. Kazał mnie odwieźć na stację małemu chłopcu. Pamiętam to, bo on miał może ze czternaście lat, a jednak prowadził samochód i pozwalali mu to robić.

– Carlos – powiedziała kobieta.

– Nie pamiętam, jak się nazywał.

– To mój najstarszy syn. Carlos.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale przyszedł chłopak z ciastkami. Przyniósł także drugą butelkę wina. zaproponował, żeby spróbowali tego wina, bo ono pasuje do słodczy. Potem powiedział coś dowcipnego o swojej szefowej. Kobieta zaśmiała się i towarzyszył temu ruch głowy, któremu, kilka lat wcześniej, trudno by się było oprzeć. Ale mężczyzna prawie jej nie widział, bo podążał za swoimi wspomnieniami. Kiedy chłopak odszedł, zaczął mówić znowu.

– Tamtego dnia, przed opuszczeniem Belsito, idąc długim korytarzem ze wszystkimi tymi zamkniętymi drzwiami, pomyślałem, że pani musi być gdzieś tu, w tym domu. Sprawiłoby mi przyjemność móc panią zobaczyć. Nie miałbym pani nic do powiedzenia, ale sprawiłoby mi przyjemność zobaczyć znowu pani twarz, po tylu latach i po raz ostatni. Myślałem o tym, idąc wtedy tym korytarzem. I zdarzyła się rzecz ciekawa. W pewnej chwili jedne z tych drzwi się otwarły. A ja miałem absolutną pewność, że wyjdzie stamtąd pani i przejdzie obok mnie bez słowa.

Mężczyzna lekko potrząsnął głową.

– Nic się jednak nie zdarzyło, bo w życiu do doskonałości zawsze czegoś brakuje.

Kobieta, z łyżeczką w palcach, wpatrywała się w leżące na talerzu ciastko, jakby szukała w nim zamka.

Co jakiś czas ktoś ocierał się o stolik, rzucając spojrzenie na tych dwoje. Byli dziwną parą. Ich gesty nie wskazywały na zażyłość. Ale mówili do siebie z bliska. Ona zapewne ubrała się tak, by mu się podobać. Żadne z nich nie miało na palcu obrączki. Można by rzec, kochankowie, ale chyba sprzed wielu lat. Albo rodzeństwo, kto wie.

– Co pan jeszcze wie o mnie? – spytała kobieta.

Mężczyźnie przyszło na myśl, by zadać takie samo pytanie jej. Ale zaczął opowiadać i uświadomił sobie, że to opowiadanie sprawia mu przyjemność, od lat już może czekał na chwilę, by to zrobić, raz na zawsze, w półmroku kawiarni, z trzema muzykami w kącie, grającymi na trzy czwarte wyuczone na pamięć kawałki taneczne.

– Jakies dziesięć lat później hrabia zginął w wypadku samochodowym. Pani została z trzema synami, Belsito i całą resztą. Ale krewnym się to nie podobało. Mówili, że pani jest wariatką i że nie można zostawić pani samej z trzema chłopcami. W końcu wnieśli sprawę do sądu i sędzia orzekł, że mają rację. W ten sposób zabrali panią z Belsito i powierzyli lekarzom w prywatnej klinice w Santander. Tak było?

– Niech pan mówi.

– Podobno synowie świadczyli przeciw pani.

Kobieta bawiła się łyżeczką. Dzwoniła nią o brzeg talerza. Mężczyzna ciągnął dalej.

– Dwa lata później pani uciekła i ślad po pani zaginął. Ktoś powiedział, że to przyjaciele pomogli pani w ucieczce i gdzieś ukryli. Ale ci, co panią znali, mówili, że pani po prostu nie miała przyjaciół. Przez jakiś czas pani szukano. Potem dano spokój. Przeszto o tym mówić. Wielu było przekonanych, że pani nie żyje. Tylu wariatów ginie bez śladu.

Kobieta podniosła wzrok znad talerza.

– Czy pan ma dzieci? – spytała.

– Nie.

– Dlaczego?

Mężczyzna odpowiedział, że robić dzieci można wtedy, gdy się ma zaufanie do świata.

– W tamtych latach pracowałem jeszcze w fabryce. Wysoko, na północy. Opowiedziano mi tę historię o pani, o klinice i o tym, że pani uciekła. Powiedziano mi, że w tej sytuacji najprawdopodobniej leży pani na dnie rzeki albo u stóp urwiska, w miejscu, gdzie wcześniej czy później znajdzie panią jakiś włóczęga. Powiedziano mi, że wszystko skończone. Ja nic nie pomyślałem. Zrobiło na mnie wrażenie, że pani oszalała, i pamiętam, że zastanawiałem się, na jaki rodzaj szaleństwa mogła pani zapaść: może chodziła pani z krzykiem po domu, a może po prostu siedziała pani cicho w kącie, licząc klepki w podłodze i ściskając w ręku sznurek albo głowę rudzika. To śmieszne, jak sobie wyobrażamy wariatów, jeżeli ich nie znamy.

Potem zrobił długą przerwę. W końcu powiedział:

– Cztery lata później zginął el Gurre. Znowu przez chwilę milczał. Jakby nagle opowiadanie stało się dla niego straszliwie trudne.

– Znaleźli go z kulą w plecach, leżał przed swoją stajnią, twarzą w dół, w gnoju.

Podniósł wzrok na kobietę.

– W jego kieszeni znaleziono kartkę. Na kartce napisane było imię kobiety. Pani.

Wypisał coś niewyraźnie w powietrzu.

– Donna Sol.

Opuścił rękę na stół.

– To było z pewnością jego pismo. To on napisał to imię. Donna Sol.

Trzej muzycy za nimi zaczęli grać rodzaj walca, w zbyt powolnym tempie i cicho.

– Od tamtego dnia zacząłem na panią czekać.

Kobieta podniosła głowę i patrzyła na niego.

– Zrozumiałem, że nie pani nie może powstrzymać i że któregoś dnia zjawi się pani i u mnie.

Nie pomyślałem nigdy, że mogłaby mnie pani zabić strzelając z tyłu czy nasyłając na mnie kogoś, kto nawet mnie nie zna. *W i e d z i a ł e m*, że to będzie pani, że spojrzy mi pani w twarz i najpierw ze mną porozmawia. Bo ja byłem tym, który tamtego wieczoru otworzył włącz, a potem go zamknął. I że pani o tym nie zapomni.

Mężczyzna zwlekał chwilę, a potem powiedział to, co chciał jeszcze na koniec powiedzieć.

– Nosilem w sobie ten sekret przez całe życie, jak chorobę. *Z a s ł u ż y ł e m* sobie na to, by siedzieć tu z panią.

Potem mężczyzna zamilkł. Czuł, jak serce bije mu szybko, nawet w czubkach palców i w skroniach. Pomyślał, że siedzi w kawiarni naprzeciw szalonej starszej pani, która w każdej chwili może się podnieść i go zabić. Wiedział, że nie robi nic, by temu zapobiec.

Wojna się skończyła, pomyślał.

Kobieta rozglądała się wokół i co jakiś czas rzucała okiem na pusty talerz. Nic nie mówiła i, odkąd mężczyzna przestał opowiadać, przestała na niego patrzeć. Można by rzec, że siedzi przy stole sama i że na kogoś czeka.

Mężczyzna odchylił się na oparcie krzesła. Teraz wydawał się niższy i bardziej zmęczony. Obserwował, jakby z bardzo daleka, oczy kobiety błędzące po kawiarni i po stole: zatrzymywały się na wszystkim, ale nie na nim. Uświadomił sobie, że nadal jest w płaszczu i wsunął ręce do kieszeni. Poczuł, że kołnierzyk ociera mu kark, jakby do kieszeni wsunął dwa kamienie. Pomyślał o ludziach dokoła i wydało mu się śmieszne, że nikt w tej chwili nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje. Trudno zobaczyć dwoje starych ludzi przy stoliku i wyczuć, że w tej chwili są zdolni do wszystkiego. A tymczasem tak właśnie było. Bo ona była zjawą, a on człowiekiem,

którego życie skończyło się dawno temu. Gdyby ci ludzie o tym wiedzieli, pomyślał, ogarnąłby ich strach.

Potem zobaczył, że oczy kobiety zrobiły się błyszczące.

Kto wie, gdzie teraz błądzą jej myśli, zastanowił się.

Twarz była nieruchoma, bez wyrazu. Tylko oczy zmieniły się. Czyżby to był płacz?

Pomyślał jeszcze, że nie chciałby umierać tu, w kawiarni, na oczach tych wszystkich ludzi.

Potem kobieta zaczęła mówić i oto co sobie powiedzieli.

– Uribe podniósł karty hrabiego i wolno wypuścił je z palców, odkrywając jedną po drugiej. Nie sędzę, aby myślał wtedy o tym, co traci. Na pewno myślał o tym, czego nie wygrał. Nie znałyam dla niego zbyt wiele. Podniósł się i grzecznie pożegnał towarzystwo. Nikt się nie zaśmiał, nikt nie odważył się odezwać. Jeszcze nigdy nie widziano tam kogoś z taką ręką do pokera. A teraz proszę mi powiedzieć: dlaczego ta historia miałaby być bardziej nieprawdziwa od tamtej, którą opowiedział mi pan?

– ...

– ...

– ...

– Mój ojciec był wspaniałym ojcem. Nie wierzy pan? A dlaczego? Dlaczego ta historia miałaby być bardziej nieprawdziwa od pańskiej?

– ...

– Choćby się ktoś nie wiem jak starał mieć jedno życie, inni zobaczą w nim tysiąc innych, i dlatego nie można uniknąć zadawania sobie nawzajem cierpienia.

– ...

– Czy pan uwierzy, że o tamtym wieczorze wiem prawie wszystko, a jednak nie pamiętam prawie niczego? Byłam tam na dole, nie widziałam, słyszałam coś, ale to, co słyszałam, było takie absurdatne, wydawało się snem. Wszystko rozplnęło się w tym pożarze. Dzieci mają szczególny dar zapominania. Ale potem mi opowiedziano, więc wiem wszystko. Kłamali? Nie wiem. Nigdy nie miałam okazji zastanowić się nad tym. Weszliście do domu, pan do niego strzelił, potem strzelił do niego Salinas, a w końcu el Gurre wsunął mu lufę pistoletu maszynowego do gardła i rozwalił mu głowę krótką, suchą serią. Skąd to wiem? On to opowiedział. Znajdował upodobanie w tej opowieści. Był jak zwierzę. Wszyscy byliście zwierzętami. Wy, mężczyźni, jesteście zawsze w stanie wojny, jakże Bóg będzie wam mógł przebaczyć?

– Niech pani przestanie.

– Proszę spojrzeć na siebie, pan wydaje się normalnym człowiekiem, nosi swój wytarty płaszcz, a gdy zdejmuje okulary, chowa je porządnie do szarego futerału. Ociera pan usta, zanim się napije, szyby pańskiego kiosku są błyszczące, przechodząc przez ulicę patrzy pan uważnie na

prawo i na lewo, pan jest normalnym człowiekiem. A przecież widział pan, jak mój brat zginął bez powodu, był tylko dzieckiem ze strzelbą w rękę, jedna seria i po wszystkim, a pan tam był i nic nie zrobił, miał pan dwadzieścia lat, na Boga, nie był pan rozsypującym się starcem tylko dwudziestoletnim chłopakiem, a jednak nic pan nie zrobił; zechce mi pan wyświadczyć przysługę? proszę mi wytłumaczyć, jak to wszystko jest możliwe? czy może mi pan wytłumaczyć, że coś takiego może zdarzyć się naprawdę, że to nie koszmary chorego człowieka, że to coś, co się zdarzyło, niech pan powie, jak to możliwe?

– Byliśmy żołnierzami.

– Co to znaczy?

– Prowadziliśmy wojnę.

– Jaką wojnę? wojna była skończona.

– Nie dla nas.

– Nie dla was?

– Pani nic nie wie.

– Więc proszę mi opowiedzieć o tym, czego nie wiem.

– Wierzyliśmy w lepszy świat.

– Co to znaczy?

– ...

– Co to znaczy?

– Nie można już było się cofnąć, kiedy ludzie zaczynają się nawzajem mordować, nie można się już cofnąć. My nie chcieliśmy, by do tego doszło, inni zaczęli, a potem nic już nie dało się zrobić.

– Co to znaczy lepszy świat?

– Świat sprawiedliwy, gdzie słabi nie muszą cierpieć z powodu niegodziwości innych, gdzie każdy ma prawo do szczęścia.

– I pan w to wierzył?

– Oczywiście że wierzyłem, wszyscyśmy w to wierzyli, można było coś zrobić, a my wiedzieliśmy, jak.

– Wiedzieliście?

– Wydaje się to pani takie dziwne?

– Tak.

– A jednak wiedzieliśmy. I walczyliśmy o to, by móc zrobić to, co sprawiedliwe.

– Strzelając do dzieci?

– Tak, jeśli było trzeba.

– Co też pan mówi?

– Pani nie potrafi zrozumieć.

– Ależ potrafię zrozumieć, pan mi wyjaśni i zrozumie.

– To tak jak z ziemią.

– ...

– ...

– ...

– Nie można zasiać, jeśli się wprzód nie zaorze. Najpierw trzeba rozedrzeć ziemię.

– ...

– Trzeba przejść przez cierpienie, rozumie pani?

– Nie.

– Było pełno rzeczy, które musieliśmy zniszczyć, by móc zbudować to, czego chcieliśmy, nie było innego sposobu, musieliśmy być zdolni do cierpienia i zadawania cierpień, zwycięży ten, kto zniesie więcej bólu, nie można marzyć o lepszym świecie i sądzić, że dadzą ci go tylko dlatego, że poprosisz, tamci nigdy by nie ustąpili, trzeba było walczyć, a gdy to rozumiałeś, nie miało już znaczenia, czy to starcy czy dzieci, twoi przyjaciele czy wrogowie, rozdzierałeś ziemię, trudno, nie było sposobu, by zrobić to bezboleśnie. A kiedy wszystko wydawało nam się zbyt straszne, mieliśmy nasze marzenie, które nas chroniło, wiedzieliśmy, że choćby cena była wielka, jeszcze większa będzie nagroda, bo my nie walczyliśmy o trochę pieniędzy, ani o kawałek ornego pola, ani za żaden sztandar, my robiliśmy to dla lepszego świata, rozumie pani, co to znaczy? chcieliśmy dać milionom ludzi przyzwoite życie i możliwość bycia szczęśliwym, życia i umierania z godnością, bez poczucia, że jest się kopanym i wyszydzanym, my byliśmy niczym, oni byli wszystkim, miliony ludzi, byliśmy tam dla nich, co znaczy jedno dziecko zabite pod ścianą, czy dziesięcioro dzieci, czy sto, należało przeorać ziemię i myśmy to zrobili, miliony innych dzieci czekały, aż to zrobimy, i myśmy to zrobili, może pani powinna...

– Naprawdę pan w to wierzy?

– Oczywiście że wierzę.

– Po tylu latach wierzy pan nadal?

– Dlaczego nie miałbym wierzyć?

– Wygraliście tę wojnę. Czy ten świat wydaje się panu lepszy?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– To nieprawda. Zastanawiał się pan nad tym tysiąc razy, ale boi się pan odpowiedzieć. Tak samo jak tysiąc razy zastanawiał się pan, co pan robił tamtego wieczoru w Mato Rujo, po co było walczyć, kiedy wojna już się skończyła, po co zabijać z zimną krwią człowieka, którego nigdy przedtem się nie widziało, bez przyznania mu prawa do procesu, zabijając go po prostu i tylko dlatego, że zacząwszy raz mordować nie był pan już zdolny się zatrzymać. I przez wszystkie te lata zastanawiał się pan po tysiąc razy, po co pan się do tej wojny przyłączył, i przez cały czas budował w głowie swój lepszy świat, by nie myśleć o dniu, w którym przyniesiono panu oczy

ojca, i by nie widzieć wszystkich innych zamordowanych, którzy teraz, tak jak wtedy, wypełniają pańską pamięć jak wspomnienie nie do zniesienia, jedyny prawdziwy powód, dla którego pan walczył, bo pan nie miał w głowie niczego poza tym, zemścić się, teraz powinien pan już móc wymówić to słowo, zemsta, pan zabijał dla zemsty, wszyscy zabijaliście dla zemsty, nie ma się czego wstydzić, to jedyne lekarstwo na ból, wszystko, co wymyślono, by nie oszaleć, to narkotyki, dzięki któremu stajemy się zdolni do walki, ale wy nie uwolniliście się już od niego, zniszczył wam całe życie, napełnił je mrzonkami, w cztery lata po wojnie, by przetrwać, zniszczyliście sobie całe życie, teraz nie wiecie już nawet...

– To nieprawda.

– Nie pamiętacie już nawet, co to jest życie.

– A co pani o nim wie?

– Słusznie, co ja mogę o nim wiedzieć? jestem tylko starą, szaloną kobietą, prawda? ja nie mogę zrozumieć, byłam wtedy dzieckiem, cóż ja o tym wiem? więc mówię panu to, co wiem, leżałam w jamie pod podłogą, przyszło trzech mężczyzn, wzięli mojego ojca, potem...

– Proszę przestać.

– Nie podoba się panu ta historia?

– Ja niczego nie żałuję, należało walczyć i robiliśmy to, nie siedzieliśmy w domu za zamkniętymi oknami czekając, żeby minęło, my wyszliśmy z naszych podziemnych kryjówek i zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić, taka jest prawda, teraz może pani mówić, co chce, może pani wskazywać przyczyny, jakie chce, ale teraz to co innego, żeby zrozumieć, trzeba było tam być, pani tam nie było, była pani dzieckiem, to nie pani wina, ale pani nie może zrozumieć.

– Niech pan mi wytłumaczy, to zrozumiem.

– Teraz jestem zmęczony.

– Mamy mnóstwo czasu, niech pan mi wytłumaczy, ja posłucham.

– Proszę mnie zostawić w spokoju.

– Dlaczego?

– Niech pani robi to, co musi, ale proszę mnie zostawić w spokoju.

– Czego pan się boi?

– Nie boję się.

– Więc o co chodzi?

– Jestem zmęczony.

– Czym?

– ...

– ...

– Bardzo proszę...

– ...

– ...

– ...

– Bardzo proszę.

Wtedy kobieta spuściła wzrok. Potem cofnęła się i odsunęła od stołu, wspierając się na oparciu krzesła. Rzuciła okiem dokoła, jakby w tej chwili odkryła nagle, gdzie jest. Mężczyzna siedział nadal: znęcał się nad swymi palcami zaciskając jedną rękę w drugiej i był to jedyny ruch w jego nieruchomej postaci.

W głębi kawiarni tamci trzej grali stare piosenki. Ktoś tańczył.

Przez chwilę trwali tak w milczeniu.

Potem kobieta powiedziała coś o jakiejś zabawie sprzed wielu lat, kiedy to pewien sławny piosenkarz poprosił ją do tańca. Opowiadała po cichu, że był stary, ale poruszał się bardzo lekko, i zanim skończyła się muzyka, próbował ją przekonać, że przeznaczenie kobiety wyczytać można ze sposobu, w jaki tańczy. Potem powiedział, że ona tańczy tak, jakby taniec był grzechem.

Kobieta zaśmiała się i znowu rozejrzała dokoła.

Potem opowiedziała coś innego. Coś, co dotyczyło tamtego wieczoru w Mato Rujo. Powiedziała, że widząc unoszącą się pokrywę wjazdu, wcale nie czuła strachu. Odwróciła się, by zobaczyć twarz tamtego chłopaka, i wszystko wydało się jej bardzo naturalne, wręcz oczywiste. Powiedziała, że w jakiś sposób p o d o b a ł o s i ę jej to, co się dzieje. Potem on opuścił pokrywę i wtedy – tak, wtedy poczuła strach, największy strach w swoim życiu. Znowu ciemność, hałas przesuwanych nad głową koszy, oddalające się kroki. Poczowała się zgubiona. I ten strach nie opuścił jej już nigdy. Przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym dodała, że umysł dziecka jest dziwny. Myślę, powiedziała, że w tamtej chwili pragnęłam tylko jednego: żeby ten chłopak zabrał mnie ze sobą.

Potem mówiła jeszcze inne rzeczy, o dzieciach i o strachu, ale mężczyzna jej nie słyszał, bo próbował złożyć razem słowa, którymi wyraziłby coś, co chciał kobiecie powiedzieć. Chciał jej powiedzieć, że gdy tamtego wieczoru patrzył na nią, skuloną w tej jamie, taką porządnie ułożoną i czystą – c z y s t ą – poczuł rodzaj spokoju, jakiego później nie zdarzyło mu się już nigdy odnaleźć, no, może kilka razy, ale tylko patrząc na jakiś krajobraz czy w oczy zwierzęcia. Chciałby wyjaśnić jej dokładnie to wrażenie, ale wiedział, że słowo spokój nie wystarczy, by opisać to, co mu się przydarzyło, a z drugiej strony nie przychodziło mu do głowy nic innego, może tylko myśl, że to było tak, jak znaleźć się przed czymś, co jest nieskończeniem d o s k o n a ł e . Jak tyle innych razy w przeszłości, poczuł, że trudno ubrać w słowa to wszystko, co zdarzyło im się w czasie wojny, jakby za sprawą jakiegoś czaru ci, którzy przeżyli, nie umieli opowiadać, a tym, co umieli, nie dane było przeżyć. Podniósł wzrok na kobietę i zobaczył, że ona mówi dalej, ale nie mógł jej słuchać, bo myśli znowu powiodły go w przeszłość; a on zbyt był zmęczony, by im się oprzeć. I dlatego siedział nadal, odchyłony na oparcie krzesła, i nic nie robił,

aż w końcu zaczął płakać, nie wstydząc się tego, nie zakrywając nawet oczu rękami, nie próbując zapanować nad twarzą, którą wykrzywił patetyczny grymas, a łzy spadały na kołnierzyk koszuli, ciekąc po szyi białej i źle ogolonej, jak szyje wszystkich starych ludzi świata.

Kobieta przerwała. Nie od razu zdała sobie sprawę, że on zaczął płakać, i teraz nie bardzo wiedziała, co robić. Pochyliła się nieco nad stołem i szepnęła coś cicho. Potem instynktownie odwróciła się ku innym stolikom i zobaczyła, że dwaj młodzi ludzie siedzący blisko nich patrzą na mężczyznę, a jeden z nich się śmieje. Wtedy krzyknęła coś do niego, a kiedy chłopak odwrócił się do niej, spojrzała mu w oczy i powiedziała głośno:

– Pieprz się.

Potem napełniła winem kieliszek i podsunęła go mężczyźnie. Ale nie odezwała się. Odchyliła się znów na oparcie. Mężczyzna ciągle płakał. Ona co jakiś czas rzucała naokoło złe spojrzenia, jak samica strzegąca nory, w której znajdują się młode.

– Kim są ci dwoje? – zapytała szefowa stojąca za barem.

Kelner zrozumiał, że mówi o dwojgu starych ludzi, tam, przy stoliku.

– Wszystko w porządku – powiedział.

– Znasz ich?

– Nie.

– Przed chwilą ten stary płakał.

– Wiem.

– Nie są chyba pijani...

– Nie, wszystko w porządku.

– Ale sam powiedz, czy muszą przychodzić tu, żeby...

Kelner nie widział nic złego w tym, że ktoś płacze w kawiarni. Ale nic nie powiedział. To był chłopak mówiący z dziwnym akcentem. Postawił na ladzie trzy puste kieliszki i wrócił między stoliki.

Szefowa obejrzała się na dwoje starych ludzi i patrzyła na nich przez chwilę.

– Ona musiała być zresztą piękną kobietą...

Powiedziała to na głos, chociaż nikt jej nie słuchał.

Kiedy była młoda, marzyła o tym, by zostać aktorką filmową. Wszyscy mówili, że jest dziewczyną pewną siebie, a ona lubiła śpiewać i tańczyć. Miała piękny głos, raczej pospolity, ale piękny. Potem spotkała przedstawiciela firmy kosmetycznej, który zabrał ją do stolicy, by pozowała do zdjęć reklamujących jakiś krem na noc. Posłała zdjęcia do domu, złożone w kopercie, z pewną sumą pieniędzy. Przez kilka miesięcy próbowała śpiewać, ale nic z tego nie wychodziło. Lepiej było ze zdjęciami. Lakiery, szminki, a raz jakieś krople przeciw podrażnieniom oczu. Z filmu zrezygnowała. Mówiono, że trzeba chodzić z każdym do łóżka, a

ona tego nie chciała robić. Kiedyś dowiedziała się, że szukają spikerek do telewizji. Poszła na próbne nagranie. Ponieważ była pewna siebie i miała piękny, choć pospolity głos, przeszła przez trzy pierwsze próby i w rezultacie była druga spośród odrzuconych. Powiedzieli jej, żeby poczekała, że może zwolni się jakieś miejsce. Czekala. Po dwóch miesiącach skończyła jako spikerka radiowa, zapowiadająca programy w pierwszym kanale publicznym.

Pewnego dnia wróciła do domu.

Wyszła dobrze za męża.

Teraz miała kawiarnię w centrum.

Kobieta – tam, przy stoliku – pochyliła się lekko do przodu. Mężczyzna dopiero co przestał płakać. Wyciągnął z kieszeni dużą chustkę i otarł łzy. Powiedział:

– Przepraszam panią.

Potem nic już nie mówili.

Wydawało się, że istotnie nie mają już sobie nic do wyjaśnienia.

A jednak w pewnej chwili kobieta pochyliła się nieco w stronę mężczyzny i powiedziała:

– Muszę panu zadać jedno niezbyt mądre pytanie.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok.

Kobieta wydawała się bardzo poważna.

– Czy chciałby się pan ze mną kochać?

Mężczyzna patrzył na nią nadal bez ruchu i w milczeniu.

Toteż kobietę ogarnęła na chwilę obawa, że nie powiedziała nic na głos, że myślała tylko o powiedzeniu tego zdania, ale w rzeczywistości nie była w stanie tego zrobić. Więc powtórzyła je powoli.

– Czy chciałby się pan ze mną kochać?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jestem stary – powiedział.

– Ja też.

– ...

– ...

– Przykro mi, ale jesteśmy starzy – powiedział znowu mężczyzna.

Kobieta zdała sobie sprawę, że o tym nie pomyślała i że nie może nic dodać. Wtedy przyszło jej do głowy coś innego i powiedziała:

– Nie jestem wariatką.

– To nie ma znaczenia, czy pani jest wariatką. Naprawdę. Dla mnie nie ma to znaczenia. Nie o to chodzi.

Kobieta myślała przez chwilę, a potem powiedziała:

– Nie musi się pan kłopotać, możemy iść do hotelu, sam może go pan wybrać. Hotel, którego

nikt nie zna.

Wtedy mężczyzna odniósł wrażenie, że coś zaczyna rozumieć.

– Chciałaby pani, żebyśmy poszli do hotelu? – zapytał.

– Tak. Chciałabym. Proszę mnie zabrać do hotelu.

On powiedział powoli:

– Pokój hotelowy.

Powiedział to, jakby wymawiając te słowa łatwiej mu go było sobie wyobrazić, ten pokój, i ujrzeć go, by móc zrozumieć, czy tam właśnie chciałby umrzeć.

Kobieta powiedziała, że nie musi się niczego bać.

– Nie boję się – odparł.

Ja już nigdy nie będę się bał, pomyślał.

Kobieta uśmiechnęła się, bo nic nie mówił i to wydało jej się szczególną formą powiedzenia tak.

Poszperała w torbie, wyciągnęła portmonetkę i pchnęła ją po stole w stronę mężczyzny.

– Tu są pieniądze. Wie pan, nie lubię kobiet, które płacą w kawiarni, ale to ja pana zaprosiłam i nalegam. Niech pan to weźmie. Odda pan, jak wyjdziemy.

Mężczyzna wziął portmonetkę.

Pomyślał o starym człowieku, który płacił pieniędzmi z portmonetki z czarnej satyny.

Przejechali przez miasto taksówką, która wydawała się nowa i miała jeszcze celofan na siedzeniach. Kobieta przez cały czas patrzyła przez okienko. Nigdy tych ulic nie widziała.

Wysiedli przed hotelem, który nazywał się California. Neon wznosił się pionowo przez wszystkie cztery piętra budynku. Składał się z wielkich czerwonych liter, zapalających się kolejno, jedna po drugiej. Kiedy napis był już kompletny, błyskał przez jakiś czas, potem gasł zupełnie i zaczynało się od pierwszej litery. C. Ca. Cal. Cali. Calif. Califo. Califor. Californi. California. California. California. California. Ciemno.

Przez chwilę stali tam, jedno obok drugiego, oglądając hotel z zewnątrz. Potem kobieta powiedziała Chodźmy i skierowała się ku drzwiom wejściowym. Mężczyzna poszedł za nią.

Człowiek w recepcji obejrzał dokumenty i spytał, czy chcą pokój z łóżkiem małżeńskim. Ale bez żadnej szczególnej intonacji.

– Jaki pan ma – odparła kobieta.

Wzięli pokój wychodzący na ulicę, na trzecim piętrze. Człowiek z recepcji przeprosił, że nie mają windy, i chciał zanieść walizki na górę.

– Nie ma walizek. Zgubiliśmy je – powiedziała kobieta.

Człowiek uśmiechnął się. To był porządny facet. Zobaczył, jak znikają na schodach, i nie pomyślał o nich źle.

Weszli do pokoju i żadne z nich nie wyciągnęło ręki, by zapalić światło. Neon z zewnątrz rzucał powolne, czerwone blaski na ściany i przedmioty. Kobieta położyła torbę na krześle i podeszła do okna. Odsunęła przezroczyste zasłony i przez chwilę patrzyła w dół, na ulicę. Z rzadka, bez pośpiechu przejeżdżały samochody. Na ścianie domu naprzeciwko oświetlone okna wyliczały rodzinne wieczory tego małego świątka, pogodne czy tragiczne – jak zwykle. Odwróciła się, zdjęła szal i położyła go na stoliku. Mężczyzna czekał, stojąc na środku pokoju. Zastanawiał się, czy ma usiąść na łóżku, czy może powiedzieć coś o tym miejscu, na przykład, że nie jest tu najgorzej. Kobieta zobaczyła go tak, na środku pokoju, w płaszczu, i wydał jej się samotny i poza czasem, jak bohater filmowy. Podeszła do niego, rozpięła mu płaszcz i zsunęła z ramion tak, że opadł na podłogę. Byli bardzo blisko siebie. Spojrzeli sobie w oczy, po raz drugi w życiu. Potem on pochylił się nad nią wolno, bo postanowił pocałować ją w usta. Ona nie poruszyła się i powiedziała cicho: Niech pan nie będzie śmieszny. Mężczyzna zeszywniał i pozostał tak, lekko pochylony, czując w sercu wyraźnie, że wszystko się kończy. Ale kobieta podniosła wolno ramiona, zrobiła krok do przodu i objęła go, najpierw delikatnie, potem przywierając do niego z rozpaczliwą siłą, wsparłszy głowę na jego ramieniu i szukając całym ciałem jego ciała. Mężczyzna miał oczy otwarte. Widział przed sobą błyskające światłem okno. Czuł przywierające do niego ciało kobiety i jej lekkie dłonie we włosach. Zamknął oczy. Wziął kobietę w ramiona. I z całej siły, jaka tkwi w starym człowieku, przycisnął ją do siebie.

Kiedy zaczęła się rozbierać, powiedział z uśmiechem:

– Proszę nie oczekiwać za wiele.

Kiedy położył się na niej, powiedział z uśmiechem:

– Pani jest piękna.

Z pobliskiego pokoju dochodził ledwo słyszalny dźwięk radia. Wyciągnięty na plecach w wielkim łóżku, zupełnie nagi, mężczyzna wpatrywał się w sufit zastanawiając się, czy to od zmęczenia kręci mu się w głowie, czy od wypitego wina. Kobieta leżała przy nim nieruchomo, z zamkniętymi oczami, zwrócona ku niemu, z głową na poduszce. Trzymali się za ręce. Mężczyzna chciałby jej znowu słuchać, ale rozumiał, że nie było już nic do powiedzenia i że w tej chwili każde słowo byłoby śmieszne. Dlatego milczał, czekając, aż sen zmaćmi mu myśli i przyniesie zamglone wspomnienie czegoś, co zdarzyło się tego wieczoru. Noc na zewnątrz była nieczytelna, a czas, w którym się gubił, nie miał wymiaru. Pomyślał, że powinien być wdzięczny kobiecie, która aż tutaj zaprowadziła go za rękę, krok po kroku, jak matka dziecko. Zrobiła to umiejętnie i bez pośpiechu. Teraz to, co zostało do zrobienia, nie będzie trudne.

Ścisnął dłoń kobiety w swojej, a ona odwzajemniła uścisk. Chciał odwrócić głowę i popatrzeć na nią, ale zamiast tego puścił jej rękę i przekręcił się na bok odwracając się do niej plecami. Wydało mu się, że ona tego właśnie od niego oczekuje. Gestu, który pozwoliłby jej

swobodnie pomyśleć i w jakiś sposób dawał poczucie samotności potrzebnej do podjęcia decyzji o ostatnim ruchu. Czuł, że za chwilę zapadnie w sen. Szkoda, że jest nagi, pomyślał jeszcze, bo tak go znajdą i wszyscy będą na niego patrzeć. Ale nie śmiał powiedzieć tego kobiecie. Więc odwrócił tylko głowę w jej stronę, nie na tyle jednak, by ją zobaczyć, i powiedział:

– Chciałbym, aby pani wiedziała, że nazywam się Pedro Cantos.

Kobieta powtórzyła powoli:

– Pedro Cantos.

Mężczyzna powiedział:

– Tak.

Po czym położył znów głowę na poduszce i zamknął oczy.

Nina przez pewien czas powtarzała w myśli to imię. Toczyło się gładko jak szklana kulka. Po pochylonej tacy.

Odwróciła się, by spojrzeć na torebkę leżącą na krześle koło drzwi. Pomyślała, żeby po nią pójść, ale nie zrobiła tego i została w łóżku. Myślała o kiosku z losami, o kelnerze z kawiarni, o taksówce z siedzeniami okrytymi celofanem. Ujrzała znowu Pedra Cantosa, jak płacze z rękami w kieszeniach płaszcz. Ujrzała znowu, jak ją pieści nie śmiąc oddychać. Nie zapomnę tego dnia, powiedziała sobie.

Potem odwróciła się, przysunęła do Pedra Cantosa i zrobiła to, po co cały ten czas żyła. Skuliła się za nim; podciągnęła kolana do piersi; ułożyła nogi tak, by stykały się idealnie, dwa uda miękko złączone, kolana jak dwie filizanki w chwiejnej równowadze jedna nad drugą, kostki blisko siebie; stuliła nieco ramiona i wsunęła złączone dłonie między nogi. Spojrzała na siebie. Zobaczyła starą dziewczynkę. Uśmiechnęła się. Skorupka i zwierzę.

Wtedy pomyślała, że mimo całej niepojętości życia, my, prawdopodobnie, przechodzimy przez nie pragnąc jedynie powrotu do piekła, które nas zrodziło, i zamieszkania w nim u boku kogoś, kto kiedyś z tego piekła nas wybawił. Próbowwała odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd płynie ta absurdalna wierność rzeczom potwornym, ale pojęła, że nie ma na to odpowiedzi. Rozumiała tylko, że nic nie jest silniejsze od tego instynktu, który każe nam wracać w miejsce, gdzie zadano nam ból, i powielać tę chwilę przez całe lata. Z tą jedną myślą, że ktoś, kto uratował nas raz, może potem zrobić to na zawsze. W nie kończącym się piekle, takim samym jak tamto, z którego przychodzimy. Lecz nagle miłosiernym. I bez krwi.

Na zewnątrz neon przesuwiał swoje paciorki czerwonego światła. Przypominały błyski domu w płomieniach.

Nina oparła czoło na plecach Pedra Cantosa. Zamknęła oczy i zasnęła.

Podziękowania

Zacząłem pisać tę książkę będąc gościem Isabella Stewart Gardner Museum w Bostonie. To dziwne miejsce. Rodzaj domu weneckich patrycjuszy. Ale to nie Wenecja. To wszystko zrodziło się w wyobraźni założycielki, kolekcjonerki amerykańskiej, która zamknęła wśród tych ścian ogromny zbiór dzieł sztuki, zostawiając je potomnym pod jednym warunkiem: że niczego nie przestawią. Dlatego wszystko zostało tak, jak ona chciała. To jakby iść z wizytą do amerykańskiej ciotki miliarderki. Wycieczka, jak to się mówi, warta zachodu.

Chciałbym tu wspomnieć o Pierannie Cavalchini i wszystkich osobach z muzeum, które w tamtych dniach zajmowały się mną z bostońską dyskrecją. Zawdzięczam im spokój, bez którego nie może się narodzić żadna historia.

A.B.